

Ciocia od czytania

Pozostało mi jeszcze kilka książek w wózku. Właśnie miałam jechać z nimi na poddasze, gdzie mieści się nasz punkt biblioteczny, kiedy zauważyłam leciutko uchylone drzwi do jednej ze szpitalnych sal. Coś w sercu podpowiadało mi, bym tam zajrzała. Powolutku otworzyłam szerzej drzwi i weszłam do środka. Zobaczyłam chłopca leżącego na łóżku z obandażowaną główką



Fot. J. Marzętnik

- Chyba wystarczy - pomyślałam dokładając jeszcze dwie książki do bibliotecznego wózka. Codziennie o tej porze wybieram się z mnóstwem różnych książek na oddziały szpitala. Rozstawiam się z wózkiem na korytarzu, w kąciaku, nieopodal sali telewizyjnej, tak by nie przeszkadzać w pracy lekarzom i pielęgniarkom. Do tych, którzy nie mogą wyjść na korytarz docieram wchodząc na salę. Personel szpitala zna mnie od dawna i mogę wejść tu o każdej porze, choć zwykle jest to ta sama godzina. Pacjenci czekają i zawsze miło mnie witają:

- O, pani Beatka! Ta książka, którą mi pani ostatnio poleciła jest niesamowita! Właśnie kończę ją czytać. O, patrzy pani, zostało mi zaledwie pięć stron! - woła pani Ania,

która przebywa na oddziale już od dwóch miesięcy. Niestety, po operacji nastąpiło zakażenie organizmu i z panią Anią nie było najlepiej, ale dziś „dochodzi już do siebie”.

- A nie mówiłam, że się pani spodoba?! Mam „nosa” do książek - zażartowałam.

- Cóż ciekawego dziś nam pani Beata przywiozła? - pyta pan Kazio.

- No, nie wiem, a na co ma pan dziś ochotę?

- A na jakiś dobry kryminał, pani Beatko. Takie nudy w tym szpitalu, że chętnie poczułbym lekki dreszczyk emocji!

- Zaraz, zaraz, coś na to poradzimy... - mówię przekładając książki w wózku. - O, proszę, będzie pan zadowolony - podaję panu Kaziowi książkę o tytule „Co się stało z panią M”? - Ciekawe, czy będzie pan lepszy od detektywa Mc Gregora? Proszę dać mi znać, gdy rozwiąże pan zagadkę.

- O, tak, tak, na pewno dowie się pani pierwsza! - zapewnia pan Kazio, odchodząc do swojej sali.

- Pani Beato, zapraszamy do nas z tymi książkami! - wołają pielęgniarki z „dyżurki”. - Czytać w pracy nie ma kiedy, ale w domu, to by człowiek usiadł wieczorem w fotelu i się odprężył.

- A mam coś dla pań - uśmiecham się i podaję pielęgniarkom stosik książek.

- Pani Beato, tylko ostrożnie! W głowach się kobietom od tych „romansideł” poprzewraca - żartuje doktor Piotr, ordynator oddziału urologicznego.

Z urologii podjechałam windą na chirurgię, potem na kardiologię. „Dziecięcy” zostawiam na koniec, gdyż tutaj spędzam zwykle najwięcej czasu. Dzieciaki przepadają za książkami i cieszą się, gdy przychodzę. Dla nich mam najwięcej książek. Mogą przebierać do woli! Najczęściej „idą” książeczki Disneya i baśnie. Także komiksy giganty, które uwielbiają chłopcy. Niekiedy w wyborze swym pociechom pomagają rodzice, którzy „towarzyszą” im w chorobie. Czasami nie czuję się, jak bibliotekarz, ale bardziej jak psycholog, który wysłuchuje bardzo trudnych opowieści...

- A ma pani „Koszmarnego Karolka”? - pyta Julia.

- A pewnie, że mam! - uśmiecham się. - Której części jeszcze nie czytałaś?...

- Dla mnie koniecznie „Kuba i Buba”! - woła Adaś.

- O, proszę. „Bon czy ton” - może być? - pytam.

- Jasne! - Adaś podskakując wraca na salę.

Jestem już nieco zmęczona, ale bardzo zadowolona z dzisiejszego „obchodu”. Pozostało mi jeszcze kilka książek w wózku. Właśnie miałam jechać z nimi na poddasze, gdzie mieści się nasz punkt biblioteczny, kiedy zauważyłam leciutko uchylone drzwi do jednej ze szpitalnych sal. Coś w sercu

Emilia Maraskiewicz, Darłowo

WIGILIA

*wśród mrowia śnieżynek
i żywicznego zapachu choinki
nadchodzi wieczór wigilijny*

*idą najpiękniejsze chwile
wpada wiatr z kołędą
i wyznacza azymut życia*

*w kościele na pasterce
serce bije miłością
- przygarnia cały świat*

podpowiadało mi, bym tam zajrzała. Powolutku otworzyłam szerzej drzwi i weszłam do środka. Zobaczyłam chłopca leżącego na łóżku z obandażowaną główką. Mógł mieć około ośmiu lat. Szereg monitorów „pikało” w różnorodnych dźwiękach, dając znać, że w chłopcu tętni życie. Kroplówka powoli sączyła się do żyły.

- To chłopiec z wypadku - niespodziewanie do sali weszła pielęgniarka. - Straszna sprawa, rodzice zginęli na miejscu, próbujemy skontaktować się z jakąś rodziną.

- Ojej - westchnęłam. - Rzeczywiście trudna sprawa.

- Nadal jest w śpiączce farmakologicznej, choć tak naprawdę powinien się już „wybudzić”.

- To niedobrze - stwierdziłam. - Czy mogę trochę przy nim być?

- Jasne, nikt go nie odwiedza. Szkoda dzieciaka. Mamy nadzieję, że w końcu znajdzie się rodzina Pawełka - pielęgniarka uśmiechnęła się smutno i wyszła z sali.

- Witaj Paweł - leciutko dotknęłam rączkę chłopca - mam na imię Beata. Nie wiem czy lubisz czytać książki, ale dopóki się nie obudzisz będę ci czytała. Co by tu wybrać? - zastanawiałam się głośno. - Może „Mikołajek”? Mam nadzieję, że nie czytałeś. Uwierz mi, jest naprawdę zabawny!

Gdy skończyłam czytać pierwszy rozdział, pożegnałam się z Pawełkiem delikatnym pocałunkiem w zabandażowaną główkę. Pomyślałam, że nie ma na co czekać, trzeba działać, trzeba znaleźć rodzinę chłopca! Skierowałam swe kroki do „dyżurki”. Poprosiłam o dane Pawełka tłumacząc, że mam zamiar czytać mu książki i potrzebuję informacji do systemu komputerowego, by włączyć do biblioteki nowego użytkownika.

Wróciłam do domu totalnie wykończona, po drodze odebrałam Jaska z przedszkola. Jacek - mój mąż i Mateusz - nasz starszy syn, byli już w domu.

- Kochanie, co tak późno? - zapytał zdziwiony Jacek.

- Nie pytaj, co za dzień! Nie ma jak to wrócić do pracy po urlopie! A jak tobie minął dzień?

- Dzięki. W porządku, teraz szef ma urlop, więc mamy trochę spokoju. Odgrzeję wam zupę, a wy umyjecie ręce.

Po obiedzie, przy kubku porządnej kawy opowiedziałam Jackowi o sytuacji Pawełka. Usiedliśmy razem do komputera i zaczęliśmy szukać. Okazało się, że Pawłów Starskich jest o wiele więcej, niż myśleliśmy. Tego wieczoru nie wpadliśmy na żaden trop...

Od kilku dni codziennie zaglądałam do Pawełka. Czytałam mu kolejne rozdziały „Mikołajka”. Wieczorem z Jackiem zasiadaliśmy do „kompa” i szukaliśmy jakiegoś śladu rodziny chłopca.

Pewnego dnia znów usiadłam przy łóżku Pawełka, by poczytać mu choć chwilkę. Niestety, tym razem musiałam ten czas skrócić, gdyż w przedszkolu Jasia ich pani niespodziewanie zachorowała i trzeba było odebrać „brzdąca” szybciej. Uprzedziłam o tym Pawełka, że będę dziś u niego krócej. Właśnie miałam wychodzić, kiedy do sali wbiegł Jasiek, a za nim Jacek.

- Co wy tu robicie? - zapytałam zaskoczona.

- Wpadliśmy na trop! - odpowiedział zdyszany Jacek.

- Jaki trop, nic nie rozumiem? - pytałam zdziwiona. - I dlaczego ty nie jesteś w pracy?

- Właśnie w pracy na waszemu! Dzwońcie do ciebie, ale masz wyłączoną komórkę, więc przyjechałem. To ten chłopiec?

- Tak.

- Mamo, mamo, pocytaj Pawełkowi moją książeczkę - Jasiek dał mi do ręki „Kubusia Puchatka”.

- Ok., to ja idę do „dyżurki” powiadomić o rodzinie Pawełka. Okazuje się, że ma wujka w Toruniu. Potem ci wszystko opowiem. - Jacek pocałował mnie w czubek nosa, uśmiechnął się i wyszedł.

Zostaliśmy sami, razem z Jaśkiem i Pawełkiem.

- No dobrze, poczytamy „Kubusia Puchatka” - zapowiedziałam.

Czytałam rymowaną o porach roku. To znaczy ja zaczynałam, a Jasiek dopowiadał końcówkę. Znał tę historię na pamięć, gdyż co wieczór czytaliśmy mu ją z Jackiem na zmianę.

- Mamo, mamo - Jaś oderwał mnie nagle od czytania. - Chłopiec otworzył oczy!

Spojrzałam na Pawełka, rzeczywiście patrzył na nas z niedowierzaniem. Po chwili patrząc na Jaska słabym głosem zapytał:

- Julek?

- Nie jestem Julek, tylko Jaś - maluch próbował tłumaczyć.

Do dziś jestem poruszona tą historią. Okazało się, że Pawełek ma młodszego rodzeństwo, którym jest sześciolatek Julek. Przebywał on wtedy na wakacjach w Toruniu u wujka Tomka i cioci Zosi, czyli brata nieżyjącego już ojca chłopców. W związku, iż małżeństwo przebywało jakiś czas w Anglii, tak trudno było odnaleźć jakiejkolwiek informacje na ich temat. Pawełek w tym czasie wracał z rodzicami znad morza. Niestety, brawura kierowców doprowadziła do nieszczęścia. Pan Andrzej nie miał szansy żadnego manewru, który mógłby ich uratować. Można powiedzieć, że w tym nieszczęściu jest jedno szczęście - życie Pawełka.

Z panem Tomkiem i jego żoną bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Obydwoje z radością przyjęli chłopców do siebie. Od lat oczekiwali na potomstwo, ale do tej pory nie mieli własnych dzieci. Po badaniach okazało się, że w ich przypadku pani Zofia nigdy nie będzie w ciąży.

Chłopcy zamieszkali w Toruniu. Pawełek wyzdrowiał po wypadku, znalazł nowych przyjaciół. Julek niedługo po raz pierwszy przekroczył progi szkoły, tej samej, do której uczęszcza jego starszy brat.

Spotykamy się ze sobą od czasu do czasu, albo Zosia z Tomkiem przyjeżdżają do Gdańska, albo my jedziemy do Torunia. Tym razem nasza rodzina spodziewa się gości.

- Ok., chyba już wszystko gotowe? - myślę gorączkowo stojąc jeszcze w fartuchu i przyglądając się nakrytemu stołowi.

- Prawie wszystko - Jacek podchodzi i rozwiązuje fartuch zza którego wyłania się moja ulubiona letnia sukienka w kwiaty. - Teraz gotowe! - uśmiecha się i całuje mnie w kark.

- Mamo, tato, przyjechali! - krzyczy Jasiek ze swego pokoju.

Wszyscy pędzimy do drzwi, by przywitać gości. Pawełek rzuca mi się na szyję, podając bukiet kwiatów: - To dla ciebie ciociu!

- Dziękuję, są śliczne - odbieram bukiet od Pawełka, głaszcząc go po czuprynie.

- Mam jeszcze coś - Pawełek podaje mi szarą kopertę. - Napisałem ją sam. Może będziesz mogła przeczytać ją innym dzieciom na oddziale?

- Kochanie, sam napisałeś książeczkę? To cudownie! Oczywiście, że przeczytam ją innym dzieciom!

- Wiedziałem, bo ty ciociu w tej swojej pracy jesteś właśnie taką ciocią od czytania książek!

- Ciocia od czytania książek? Hmm... Przyznaję, że bardzo mi się ta nazwa podoba! Od dziś nie będę bibliotekarzem, ale ciocią od czytania książek! Dla ciebie i dla wszystkich dzieciaków z oddziału!

- Kochanie, możesz mi pomóc? - rozmowę przerywa nam nagły krzyk z kuchni.

- Lepiej się pośpieszmy - mówię do Pawełka, kierując nas w stronę kuchni. - Chyba wujek Jacek nie daje sobie bez nas rady.

Monika Sochańska, Prabuty

Opowiadanie nadesłane na Pomorski Konkurs Literacki dla Nauczycieli - 2017 zorganizowany przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Słupsku. Oryginalny tytuł: *Radość z czytania. (Z)*

Ani ze wsi, ani z miasta



Ewelina gdy zaprosiła chłopaka do swoich rodziców na wieś, bała się, „że on nie rozumie ich trybu życia, że zbyt wiele może go zaskoczyć. Na przykład to, że w jej domu wszyscy do siebie krzyczą. Taki mają styl - rozmawiają krzykiem. Duży dom, duże podwórko, trzeba się drzeć, żeby się usłyszeć

Andrzej Muszyński, pisarz pochodzący ze wsi, który na tę wieś powrócił, osiadł na niej i czuje, że to jest jego miejsce na ziemi, przeczytał książkę Marty Szarejko „Zaduch”. Przeczytał i podsumował ją tak: „Skóra cierpnie, gdy człowiek w końcu pojmuję, że jest u siebie tylko tam, skąd pochodzi. Pół biedy, jeśli wraca z radością. Bieda, gdy czuje się tam obco jak wszędzie”. A tak właśnie, obco wszędzie, czują się bohaterowie opowieści zebranych i opisanych przez młodą reportażystkę.

Książka Marty Szarejko opowiada o młodych ludziach, trzydziestolatkach, którzy mieszkają i pracują w Warszawie, a pochodzą ze wsi albo z małych miasteczek. Tadeusz, Tomasz, Justyna, Łukasz, Dominika, Ewelina, Michał, Anna, Piotr, Adam, Magda, Krzysztof, Ewa, Karolina i Katarzyna opowiadają swoje historie. Każdy z tych bohaterów wyjechał

niegdyś ze swojej miejscowości, najczęściej na studia do wielkiego miasta. Żaden z nich nie wrócił do swojej wsi czy miasteczka. Teraz nie są ani ze wsi, ani z miasta. Od miejsca urodzenia oddalili się już bardzo, a nie zakorzenili do końca w nowym środowisku. Mniej czy bardziej, mentalnie zawieszeni są pomiędzy tymi dwoma światami.

Bohaterowie „Zaduchu” osiągnęli na ogół sukces. Niemal wszyscy ukończyli

studia, często na prestiżowych uczelniach, pracują w korporacjach albo w wolnych zawodach, znają języki, podróżują za granicę. Prowadzą styl życia podobny swoim wielkomiejskim rówieśnikom, ale osiągnęli to o wiele większym wysiłkiem. Adam wciąż wspomina, jak w liceum jego wiejskie pochodzenie było przedmiotem kpin, wyśmiewania, wyzłisk. Wystydził się więc, że jest ze wsi, ale potem, jak mówi, zaczął ten wstyd przekuwać w siłę: „Zacząłem się od zadeklarowania sobie: zrobię wszystko, żeby nie wrócić tam. Materialnie mam się bardzo dobrze: mieszkanie, samochód, stać mnie na wakacje, śniadania i obiady jem na mieście. Do kolacji piję wino”. Osiągnął bardzo dużo, wykorzystał maksymalnie szanse, jakie dało mu miasto, i ta wdzięczność, jak mówi, jest większa niż tęsknota za wsią. Tomek zatrudnia sprzątaczkę, bo jego potrzeby to: „sterylnie czysty duży dom, duży stół, wielkie okna, książki, płyty, filmy. A jednocześnie zdejmowanie butów, nieprzyprowadzanie psów. Gładka podłoga. Mało przedmiotów, a te, które są - drogie. Kosmetyki dobre, marynarki markowe. Bardzo duży telewizor do oglądania ambitnych filmów”. Tomek także osiągnął wysoki status, ale droga do niego nie była łatwa. Pracował podczas studiów i patrzył na swoich rówieśników z Warszawy, którzy często, już po ukończeniu uczelni, nie wiedzieli dokładnie co mają robić. Dla Tomka widoczne było, że „my, ze wsi, musimy szybko, a oni mogą się bujać. Rodzice są na miejscu, mieszkanie jest na miejscu, wszystko jest”. Piotr mówi wręcz, spotykani przez niego warszawiacy to swoiste mimozy: nie za bardzo wiedzą, czego chcą w życiu, nie potrafią się niczym cieszyć, są znudzeni, bo mieli od dzieciństwa wszystko. A ci, którzy przyjechali do wielkiego miasta ze wsi czy z małego miasteczka, nie mogli sobie pozwolić na słabość. Chcąc osiągnąć wytyczone przez siebie cele, musieli pracować więcej i starać się więcej. Justyna podsumowuje, że „ktoś, kto nie przeszedł tej drogi, nie ma pojęcia o tych wszystkich mini schodkach, które musisz pokonać”.

Osiągnięcie wysokiego statusu nie oznacza jednak pełnego wniknięcia w środowisko miejskie. Okazuje się bowiem, że istnieją różnice, których nie da się zniwelować wykształceniem czy poziomem życia. Bohaterowie „Zaduchu” spotykają się na przykład ze swoimi rówieśnikami wychowanymi w wielkim mieście i widzą, z jak różnych środowisk pochodzą obie strony. Ewelina opowiada, jak czuła się w ich towarzystwie: „Kiedyś na przykład rozmawiali o Ukrainie i uprzytomniła sobie, że nic o tej Ukrainie nie wie. Czytała prasę przez kilka kolejnych tygodni, ale i tak miała poczucie, że to sztuczne i jakieś niepełne. Innym razem mówili o Chinach. Próbowano czytać różne reportaże, łudziła się, że nadgoni, ale jakoś te Chiny jej nie podeszły, w ogóle jej nie zainteresowały. Z innych tematów były jeszcze narty, muzyka poważna oraz ekonomia. Przrzekła sobie, że każdy z nich chociaż trochę liźnie”. U Karoliny w domu rodzinnym na wsi nikt nie czytał książek. Sama bardzo je lubi, więc po wyjeździe



Fot. J. Marzajuk

do miasta kupowała je, jak tylko miała możliwość. Opowiada, jak „na jednej z imprez, które zrobiła już na studiach, w wynajmowanym mieszkaniu, kolega z grupy stanął przed stołem książek ułożonych wzdłuż ściany i zapytał: „Dlaczego masz same nowe książki?” Nie przyszło mu do głowy, że są na świecie rodziny, w których nie ma bibliotek”. Brak wychowania wśród książek to niejedyny powód poczucia obcości bohaterów „Zaduchu”. Rozmówcy Marty Szarejko przyznają, że miejskie rodziny, w których zdarza im się bywać, różnią się też stylem życia od ich wiejskiego środowiska. W rodzinie chłopaka Eweliny, pochodzącego z Krakowa, „prezenty to wydarzenia. Bilety do teatru, obiad w restauracji z gwiazdką Michelina, masaż. Oni doceniają smak tego prezentu. A u mnie? Przecież moi rodzice nigdy by na ten masaż nie poszli! U nas sprawdzają się praktyczne prezenty - kosmetyk, ciuch, ewentualnie jakiś sprzęt do domu (w przypadku mamy) albo narzędzia (dla taty)”. A gdy zaprosiła chłopaka do swoich rodziców na wieś, bała się, „że on nie rozumie ich trybu życia, że zbyt wiele może go zaskoczyć. Na przykład to, że w jej domu wszyscy do siebie krzyczą. Taki mają styl - rozmawiają krzykiem. Duży dom, duże podwórko, trzeba się drzeć, żeby się usłyszeć. Jeśli ktoś tego nie zna, może być zaskoczony. On był”. Anna, gdy weszła do profesorskiego domu rodziców

Dominika dostrzega walory mowy swoich rodziców i dziadków: „oni mówią po swojemu. Zwłaszcza mój ojciec. Miastowi w życiu by go nie zrozumieli, ale ja uważam, że jego metafory są piękne i soczyste”. Docenia język w którym wyrosła, ale już go straciła: „Jak przyjechałam do miasta, natychmiast włożyłam takie buty, że mam być poprawna literacko i mówić pięknie po polsku - ja jako inteligencja”. Michał rozmawia ze swoimi rodzicami rzadko, bo nie mają wspólnych tematów: „Jak dzwonię do mamy, to ona pyta, gdzie byłem, co jadłem, z kim wychodzę wieczorem, czy mam dziewczynę. Nie powiem jej, że czytałem fajny artykuł albo obejrzałem dobry film. Jej to nie obchodzi”. Adam, gdy ma zamiar przyjechać do domu rodzinnego z nową dziewczyną, najpierw uprzedza jedną, potem drugą stronę: „Szkolenie dla partnerki: moja mama jest taka i taka, spodziewaj się takich pytań. Potem szkolenie dla rodziców: przywiozę obcego człowieka, kobietę, mamu, nie zadajesz tego i tego pytania, bo inaczej więcej jej tu nie zobaczysz”. Dominika zaczyna swoją historię tak: „Język, którym dziś do ciebie mówię, nie jest językiem mojego dzieciństwa. Ten, który słyszysz, przyswoiłam sobie w Warszawie. Wcześniej mówiłam zupełnie inaczej. Po wieśniacku, z akcentem”. Teraz posługuje się tym nowym językiem, nabytym, i, jak mówi, prawie zapomniata o pierwszym. Wciąż jednak używa

go, bo przecież od czasu do czasu jedzie do rodziców, na wieś.

Rozmówcy Marty Szarejko opowiadają dalej, o kolejnych różnicach, które nie pozwalają im w pełni utożsamiać się z nowym życiem w wielkim mieście. Są zawieszani pomiędzy dwoma światami, nawet jeśli bardzo rzadko jeżdżą do swojej rodzinnej wsi. Większość z nich wstydzi się swojego pochodzenia, ale niektórzy doceniają wartości środowiska, w którym wyrosli. Nie jest to może takiej miary kapitał inte-

lektualny, jaki zapewnia dom inteligencji, ale też i nie może być, bo na wsi dużą wagę posiadają inne zalety, bardziej praktyczne. Justyna bardzo ceni sobie wyniesione z domu: zakorzenienie w rzeczywistości, zaradność, zdyscyplinowanie i żywotność. Michał nie wstydzi się swojego pochodzenia, bo przecież tego się nie wybiera. Za to, jak mówi, „czasami czuję, że to ja zawstydzam moich znajomych, opowiadając na jakiejś imprezie o dojeniu krów albo przebieganiu ziemniaków”. Adam też docenia swoją wiejskość, bo bez tej twardości, bez zaprawienia w pracy i trudnościach psychicznych nie przeszedłby, jak twierdzi, błyskawicznej drogi awansu z Walentynowa do szklanego biurowca.

Bohaterowie wydanego w 2015 roku „Zaduchu” to rówieśnicy autorki, trzydziestolatkowie z prowincji robiący karierę w wielkim mieście. Marta Szarejko także wiele osiągnęła: po studiach publikowała teksty w czasopiśmie społecznych i literackich, wydała kilka książek. Urodziła się i wychowała w Bezledach, popegeerowskiej wsi na północnym wschodzie kraju. I jak sama mówi, doskonale rozumie swoich rozmówców, bo jest jedną z nich. Nie wyobraża sobie powrotu na rodzinną wieś. Wciąż chyba jednak czuje się w pewnym stopniu zawieszona między dwoma światami, czego znakiem wydaje się ta książka, opatrzona podtytułem „reportaże o obcości”.

Jolanta Betkowska, Słupsk



Fot. J. Marzajuk

swojego chłopaka, nie mogła zrozumieć, jak można żyć w zupełnie inny sposób niż u niej na wsi. Opowiada, że rodzina Franciszka „w święta robi wszystko na ostatnią chwilę. Schodzą się już goście, a odkurzacz wciąż wała się po korytarzu, zabierają go dopiero, jak sami zaczną się o niego potykać. No i zamawiają ciasta w cukierni, w moim domu to jest nie do pomyślenia. Po mieszkaniu chodzi się w butach: w złym tonie jest ich zdejmowanie, nawet zimą. Na stole nigdy nie ma stu potraw. Do obiadu pije się wino. No i bez przerwy się rozmawia”. Tomek stwierdza, że „pewnych rzeczy po prostu nie wiesz, choćbyś nie wiem ile przeczytała książek. Słucham rozmów w inteligentnych domach: takie codzienne, zwyczajne są znacznie bardziej rozbudowane”. Dla Justyny oczywiste jest, że chodzi o wyniesiony z takich domów ładunek intelektualny: „sposób rozmawiania, postępowania, pewność siebie, naturalną umiejętność zachowania w pewnych sferach. I wierzę w swoje możliwości, pewność, że coś ci się od życia należy, że nie musi być ono związane z ciągłym mozolem”.

Bohaterowie książki Marty Szarejko czują się obco także jeśli chodzi o język i porozumiewanie się. Kształcąc się, pracując i przebywając w wielkim mieście używają innych pojęć, nowych sformułowań, przyswajają sobie miejski sposób myślenia i tak też mówią. Gdy rozmawiają ze swoimi rodzicami, często nie potrafią już znaleźć z nimi wspólnego języka.

Odkłamany prymas



Poniedziałkowy Teatr TVP 1, 5 listopada przedstawił premierę wyjątkowego spektaklu, opartego na oryginalnych wątkach biograficznych prymasa Polski kardynała Augusta Hlonda z okresu II wojny światowej. Z całą pewnością temat to mało znany, dotyczy uchodźstwa i tułaczki polskiego prymasa



Sztukę wyreżyserował Paweł Woldan, który na podstawie własnych scenariuszy zrealizował już też dwa filmy dokumentalne o prymacie Hlondzie - w 2003 roku „August kardynał Hlond”, a w 2008 - „Prymas z Mysłowic”, zlecone przez TVP. Reżyser ten w zapowiedzi sztuki wyjaśniał: „Spektakl opowiada o szczególnym czasie w życiu prymasa, czyli o okresie emigracji - od września 1939 roku aż do jego powrotu w lipcu 1945 roku.” Oparty jest na faktach, które po wojnie były przez propagandę komunistyczną przeinaczane i w zakłamaniu przedstawiane społeczeństwu, szkodząc wizerunkowi prymasa. Głoszono, że nieobecność prymasa w kraju w trakcie napadu Polski przez Niemcy w 1939 roku spowodowana była jego ucieczką z kraju, że okazał się zdrajcą, który opuścił naród w najgorszym okresie. Treść sztuki wyjaśnia skomplikowane wydarzenia z tego okresu. Zapisana rozmowa prymasa z ministrem Beckiem potwierdza, że rząd polski domagał się, aby prymas opuścił kraj, ponieważ obawiano się, że może zostać więźniem i zakładnikiem Hitlera. Prymas udał się do Watykanu, do papieża Piusa XII i prosił go wielokrotnie o szybką interwencję w sprawie zaniechania ludobójstwa Polaków po wejściu hitlerowców. W Kurii Watykańskiej zabiegał o sprawy polskie i również o pomoc w powrocie do kraju. Chciał wracać do okupowanej Polski już we wrześniu 1939 roku. W sztuce słyszymy wyznanie prymasa, że „chce być w kraju w tym czasie i cierpieć razem z narodem”. Hitler jednak zabronił mu powrotu - tak do Poznania, jak i do Warszawy, siedzib prymasów polskich.

Fakty te są mało znane, a jeśli się o nich pamięta, to są obciążone fałszywą propagandą komunistyczną. Spektakl ukazuje po raz pierwszy całą prawdę, co jest wielką zasługą ciekawie zbudowanego scenariusza. Pokazuje też tułaczę wędrowni prymasa po Europie, który nie zaprzestał swojej działalności jako rzecznik i emisariusz spraw polskich. Przebywając w Lourdes, przekazuje rządowi polskiemu na emigracji informacje o losie Polaków i Żydów, pomaga aktywnie polskim i żydowskim uchodźcom przebywającym we Francji. Działalność Prymasa jest znana Niemcom - jest tropiony i prześladowany przez agentów, gestapo i ostatecznie deportowany do klasztoru opactwa benedyktyńskiego w Alpach Francuskich. Jego praca na emigracji jest szczególnie wyeksponowana w telewizyjnej sztuce. Reżyser zwrócił uwagę, że Hlond pisał, iż „Niemcy zabijają ludność cywilną polską i żydowską”. Dzięki jego raportom, papież i Europa dowiadawali się o wojennej tragedii. Jednocześnie prymas przygotowywał program dla powojennej Polski, jej odbu-

dowy i odnowy duchowej. Dziś można oceniać, że był to program polityczny oparty o wiarę i o Matkę Bożą, czyli o wartości najważniejsze dla narodu polskiego.

Po powrocie do Polski, którą już rządili komuniści, prymas Hlond nie miał za wiele czasu na wdrożenie programu, bo przeżył w niej tylko trzy lata. Zmarł w 1948 roku przy dziwnie wyglądającej komplikacji po operacji wyrostka, w do końca nie wyjaśnionych okolicznościach. Z istniejących dokumentów wynika, że był niebezpieczny dla komunistów i nie ma dotychczas jednoznacznej odpowiedzi, z jakiego powodu zmarł. Był salezjaninem, biskupem diecezji katowickiej, arcybiskupem, metropolitą gnieźnieńskim, poznańskim, kardynałem i prymasem Polski. Po 70. latach od śmierci doczekał się rozpoczęcia procesu beatyfikacji. Dziś jest postrzegany w świadomości wielu Polaków, jako ten, który „poprzedził Prymasa Tysiąclecia Stefana Wyszyńskiego” i jego wyznaczył na swojego następcę. Powrót Hlonda do kraju był tryumfem pełnej społecznej jedności. Spektakl Pawła Woldana ukazuje całą złożoną prawdę o kardynale Hlondzie i najważniejsze przestanie, jak wielkim był patriotą, któremu na sercu leżało przede wszystkim dobro Polski.

Rolę tytułową w sztuce kreował Henryk Talar, wybitny aktor, który subtelnie i z wielką odpowiedzialnością wcielił się w postać prymasa. Zdjęcia realizowano w Krakowie, Poznaniu, Rzymie, Lourdes, Paryżu, oraz w opactwie benedyktyńskim w Alpach Francuskich.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



„Osobliwe zdarzenie” w Tęczy

Teatr „Tęcza” w Słupsku staje się aktywnym ośrodkiem kultury, jego innowacje programowe zdobywają sympatię coraz większej grupy młodej i dorosłej publiczności

Mali widzowie i sympatycy słupskiej „Tęczy” za każdym razem po obejrzeniu nowego spektaklu są pod wrażeniem jego baśniowej magii. Można uznać, że jest to miejsce, które przenosi dzieci w inny świat - radości, głosi prawdę, czasem oczywistą, ale zawsze kończy spektakl delikatną puentą. Osobiście jestem pełen uznania dla propozycji programowej teatru, który dostosowuje swoje spektakle do wieku i rozwoju młodego widza.

Ostatnio wybrałem się na nowy spektakl przeznaczony dla widza 15+, w ramach wprowadzonych w tym roku „Czwartków Dorosłego Widza”. Przygotowane „Osobliwe zdarzenie” z 4-osobową obsadą jest komedią żywego aktora. To sztuka Carlo Goldoniego, wybitnego komediopisarza z Wenecji z XVII wieku, autora ponad 200 komedii. Został przygotowany na kanwie sztuki „Un curioso accidente” w konwencji commedii dell’arte, będącej, co prawda już w formie schyłkowej, ale cały czas jeszcze granej. Sztuka nawiązuje też do plebejskiej farsy włoskiej. Goldoni był mistrzem w przekazie specyfiki środowiska włoskiego, jego obyczajów i pięknego języka. Spektakl przypomina trochę groteskę i farsę, która do dzisiaj jest grana na zabytkowych placach w wielu miastach włoskich.

Jest to komedia sytuacyjna, pełna intryg, nieporozumień i dynamicznych zwrotów w akcji. Aktorzy występują w podwójnej roli poprzez umiejętne nakładanie masek i granie innych postaci, z równoczesną zmianą narracji w zależności od akcji na scenie. Jest to historia miłości dwojga głównych bohaterów, która przebiega równoległe do miłości ich służących, jednocześnie jest utrudniona przez ich skłóconych ojców. Spektakl reżyseruje Matteo Spiazzi - pochodzący z Werony,

specjalista tego gatunku, jest on również autorem scenografii i opracowania muzycznego.

Przygotowana oprawa muzyczna ożywia sztukę i jest jej cennym uzupełnieniem. Aktorzy śpiewem po włosku komentują akcję, co też wzbogaca jej przekaz sceniczny. Teatr zadbał o możliwości poznania słów tekstu nie tylko po polsku, ale również w oryginalnym języku włoskim. Słuchając wykonywanych pieśni poczułem się, jakbym został przeniesiony w rzeczywistość włoską, jakby otaczał mnie śpiew w melodyjnym języku Italii, dochodzącym od ulicznej trupy aktorskiej, która śpiewa: „Nadeszła bolesna chwila, żegnaj, moja Nino. Jak zdołam żyć, moja droga, tak daleko od ciebie? Będę żyć w bezsilności. Nie zaznam już radości. A ty... kto wie, czy jeszcze o mnie wspomnisz?” - powtarza się refren. I dalej: „Dwoje słodkich oczu zmiękczyło mi serce. I jeśli w ich blasku nie zaznam litości, umrę z miłości, w bolesnej rozterce. Umrę, umrę”...

Maski zaprojektowali i wykonali - Roberto Maria Macchi i Massimiliano di Corato - asystent reżysera. Polskiego tłumaczenia dokonała Magdalena Mrozińska, a wokalnie przygotowała aktorów - Jolanta Otwinowska. Obsadę tworzą: Anna Rau, Ilona Zaremba, Maciej Gierłowski i Mikołaj Prynkiewicz. Trzeba zaznaczyć, że zespół ten świetnie poradził sobie z rolami - zagrał je perfekcyjnie. Spektakl dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Patronat nad nim objął Instytut Kultury Włoskiej w Warszawie, a zrealizowano go we współpracy z Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Jerzego Fryckowskiego: „Stany nagłe”



Kolejny, dziewiętnasty tom wierszy Jerzego Fryckowskiego „Stany nagłe” najpierw zadziwia tytułem, chociaż w poezji zadziwienie jest stanem oczywistym i pożądanym. Z rozmowy z autorem wiem, że pomysł tytułu ma źródło... medyczne i pochodzi z podręcznika używanego przez jego córkę

Fryckowski jest lewicowy w motywach autobiograficznych, wrażliwości społecznej, rozumieniu procesów dziejowych, ale nie jest to najważniejsza cecha jego poezji. Tym, co go wyróżnia, po czym rozpoznaję jego wiersze jest humanistyczna wrażliwość, zdolność empatii, delikatność skrywana pod umiejętnie stosowanym brakiem „ogłady językowej”. Nie udaje, nie próbuje być ładny, rozprawia się po męsku z nurtu-

Widocznie jednak stan nagły jest immanentną cechą jego wierszy, a owa medyczna podpowiedź dobrze nazywała poetycki zamysł intelektualny i emocjonalny.

Właściwie gdybym nawet dostała wiersze bez nazwiska, wiedziałabym, że ich autorem jest Jerzy Fryckowski. Śledzę jego twórczość od dawna, poddawałam szczegółowej analizie wiersze, czego tym razem robić nie będę, ale powiem (napiszę) o moich spostrzeżeniach. Tak jak w „Chwilach siwienia” odnajduję w „Stanach nagłych” obecne w twórczości poety „stałe” motywy, jak: wieczne gry Erosa z Tanatosem, motyw matki w różnych odstonach, społeczna i czysto ludzka wrażliwość, turpistyczne fascynacje.

Nie dziwię zatem obecne z zbiorze „Stany nagłe” wiersze zbudowane na faktach biograficznych własnych i cudzych: Broniewskiego, Hanki Sawickiej, Inki, Karla Grenzlera. Nie tylko historyczne uwikłania i racje bohaterów, ale przede wszystkim głęboka wrażliwość, czysto ludzka empatia prowadzi autora do analizy podejmowanych przez nich wyborów, uwikłania losu w Historię.

List do Hanki Sawickiej vel Szapiro

*W mojej wsi nikt naprawdę nie wie jak się nazywałaś
a wyzywają cię od zaciekłych komunistek i chcą zrywać ze ścian
mogłoby jeszcze zaatakować twoje żydowskie pochodzenie
wygonić kamieniami lub wywieźć na gnojcu
tylko skąd go wziąć
choć wokół tyle gówna a żadnego rolnika*

*Powiedz warto było?
tylko dwadzieścia pięć lat
ledwie nauczyłaś się całować z języczkiem
nigdy nie założyłaś spódnicy powyżej kolan
bo matka krzyczała na całą kamienicę*

*Teraz dzieci demokracji wybrani siedmioma głosami
rozpijaczonej rodziny
chcą odebrać ci godność i wymazać z ksiąg wieczystych
nieuki niedorożwiniętej czwartej RP
z sobie tylko wiadomych powodów
uważają że ciosy gestapo mniej bolały Żydów i komunistów*

*Znów płoną pochodnie na czele krzyże
stosy czekają aż spłoną podręczniki ostatniej reformy
będą na nowo nadawać ulicom nazwy chrzcąc szkoły i przedszkola
lustrować Brzechwę i przesłuchiwać Pana Kleksa*

*I co głupia cipo? Warto było?
Dzisiaj Pawiak to nie argument*



Fot. J. Marzętuk

jącymi go sprawami. Czasem mam wrażenie, że w tym językowym „macho” bywa aż seksistowski, gdy bohaterkami wierszy są kobiety.

Charakterystyczny dla Fryckowskiego jest typ wiersza apostroficznego oraz obrazowanie przez niedopowiedzenie, zmiany semantyczne fraz, aluzyjność, wyszukaną nonszalancję językową. Poetycka wypowiedź osadzona w realiach naszego czasu jest zazwyczaj szorstka, ironiczna, przenosi to co ogólne w osobisty plan, jak w wierszu „Do Inki”. Taka forma poetyzowania możliwa jest przy zagęszczaniu znaczeń, miejsc, przedmiotów, postaci, kontekstów historycznych i literackich do tego stopnia, że dostają one skrzydeł, przesuwają realny współczesny świat w metafizykę czy historyczną legendę.

Ostatnia modlitwa

*Boże, pozwól doczekać pierwszej kropli świtu.
(...)*

*Nie strać, Boże, tej szansy, zajmij się owieczką,
podaj mi szklankę wody, daj przetrwać do rana.
Spójrz, bawię się diagnozą jak saper zawleczką.
Jeśli mi nie zaufasz, wybuchnę jak granat.*



*Poplamie mądre książki, a krwi nikt nie zetrze
Obudzę się z wyrokiem, włosy wyjdą strachem.
Boże, przyjdź na mój pogrzeb albo przyjedź metrem.
i obys zdążył przed czarnym maybachem.*

Przestrzeń w swoich utworach Jerzy Fryckowski rysuje jak mapę, zaznacza punkty miast, jest więc „Bezsenność w Płocku”, „Słubice”, Stare Bielsko, Miastko, Olsztyn - pocięte ulicami, przy których domy ze starymi meblami lub hotele. Poeta „mebluje” nie tylko fizyczną przestrzeń. Niby scenograf anonimową przestrzeń oswaja znakami kultury, jak: „Autoportret z żoną na tle Anticoli” (Edwarda Okunia), „Święta Rodzina” (Józef Mehoffer, 1913, Muzeum Mazowieckie w Płocku), Vermera („Dziewczyna z perłą”) i inne, czyniąc z bezosobowej przestrzeni miejsce osobistych doświadczeń emocjonalnych i intelektualnych. Nie, jego wiersze to nie ekfrazy. Obrazy, nazwiska twórców wnoszą dodatkową, pozawerbalną treść, są kolejnym punktem odniesienia. Podobnie poetycko rozgrywa motyw matki, odwołując się do Almodovara. Znaki kultury i popkultury przywołane w wierszach - Audrey Hepburn, i Gregory Peck w filmie „Śniadanie u Tiffaniego” - są sposobem opisu świata minioniej epoki, w której upływało dzieciństwo i młodość autora.

Gry, nieoczywistości, prowokacje zmuszają czytelnika do zajęcia stanowiska, opowiedzenia się. Nie ma tu miejsca na czytelnicze słodkie leniuchowanie.

*będzie taka uroczystość
że ubierzemy te same koszule
i wcale nie będą brunatne
będą białe jak alba*

gdy po raz pierwszy kosztowaliśmy ciało Chrystusa

*kiedy stanie się ciemność
podpalimy pochodnie
naostrzymy noże i uzbieramy kamienie
przedłużymy ramiona kijami bejsbolowymi
z wypaloną kotwicą*

*w miejskim parku rozrywki i kultury
spalimy stare podręczniki
i szczając na popioły wyprostujemy historię*

*ze stopionych koronek naszych wrogów
wykujemy odznaki przynależności
i złote krzyże zasługi za wierność*

*na koniec znajdziemy wśród nas
Żyda*

*(*** będzie taka uroczystość)*

Nie mam pomysłu na zgrabną puentę. Tomik wierszy Jerzego Fryckowskiego dostałam w maju 2018. Upłynęło trochę czasu. Wracam do tych wierszy raz po raz i nie mam jasności umysłu, o jakim pisała Hanna Dikta, poetka, autorka kilku powieści: „kiedy czytam wiersze J. F., mam tak rozjaśniony umysł jak trzy sekundy po orgazmie.” Bliższa mi konkluzja Leszka Żulińskiego, również z zewnętrznej okładki tomu „Stany nagłe”: „Wiersze Jerzego Fryckowskiego są wszędziebylskie. Drobiazgi, szczegóły... pulsujący pejzaż przeżywanego czasu i zdarzeń. Świat zatrzaśnięty w ciągle obecnej terażniejszości. Mądrze i empatycznie pomyślane. Fryckowski jest reistyczny, to znaczy stąpa po ziemi, a ścisłej po konkrety. Swoista prostota znakomicie współgra z metafizycznym nastrojem”.

Odkrywanie znaczeń, sensów, aluzji możliwe jest tylko w wielokrotnym czytaniu. Tak jak odkryciem ostatnim niech będzie delikatność uczuć w cyklu wierszy „Listy z ciepłych krajów”. Przytoczę tylko fragment, zachęcając do lektury „Stanów nagłych”.

*(...)
kroję cię na dwie równe połowy
ale tylko jedną z sercem i zastanawiam się po ciemku która moja
zaczynam od stóp już tam rozchodzą się drogi
jak kolejowe rozjazdy które trzeba odśnieżać ustami
by nikomu nie stała się krzywda
trzeba dokonać wyboru
potem Achilles którym wybijasz się w niebo
gdy język zdejmujesz ci opaskę wstydu
i rozebrana zastaniasz wszystkie okna
przed oczyma ubogich w miłość
(...)*

Czesława Długoszek, Objazda

Jerzy Fryckowski: „Stany nagłe”, Pruszczyk Gdański 2017.

Śladami księdza Mazelli i organisty Kampera



*Mała Marta zapamiętała
obraz rękoczynów na jej ojcu
do końca życia, opowiadając
potem swoim synom, jak z pod-
judzenia junkierstwa hakatyści
wywlekli z kościoła księdza
Mazellę i jej ojca - organistę
Kampera - z domu, i okłada-
jąc ich kijami, gdzie popadło,
zmusili do własnoręcznego
zdjęcia flag narodowych*

Z dużym zainteresowaniem obejrzałam podczas 43. Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni wyróżniony Srebrnymi Lwami film „Kamerdyner”. Ten sponsorowany przez wiele instytucji Pomorza dwupółgodzinny dramat historyczny, trwale wpisuje się w czterdziestopięcioletnią historię Kaszubów walczących o przetrwanie. O ziemię, która obok licznych wątków i ukazujących ich obrazów filmowych, wynikających z konieczności łączenia losów trzech nacji: Prusaków, Polaków i Kaszubów, staje się jednym z głównych bohaterów tego filmu. Jako rodowita Pomorzanka, sama również zetknęłam się z historią rodzinną, silnie - na początku okresu kształtowania się naszej polskiej niepodległości - związaną z walką o przyłączenie ziem zamieszkałych przez Warmian i Kaszubów do Pomorza i Polski.

Oto jeden z fragmentów, na ten temat, mojej książki pt. „Saga rodziny Grzeszczaków”, wyróżnionej podczas Kościerskich Targów Książki Kaszubskiej i Pomorskiej COSTERINA 2018.

Związków historii z 11 lipca 1920 roku nie sposób pominąć z uwagi, że wydarzyła się w dniu pamiętnego plebiscytu na Warmii i Mazurach. W tym dniu organista Franciszek Kamper i ksiądz proboszcz Mazella wywiesili na wieży kościoła białoczerwoną flagę. Pod kościołem stała dziewięcioletnia Martunia i zadzierając mocno główkę, obserwowała z uwagą zmagania ojca i księdza proboszcza.

- Martuś, zapamiętaj dobrze ten dzień! To dzień bardzo ważny dla nas i całej Polski - pouczył córkę pan Franciszek, schodząc z metalowej drabiny wbudowanej w mur kościoła.

Historia plebiscytu na Warmii i Mazurach była tragiczna w swych skutkach i nie sposób jej nie przytoczyć. Jeden z dwóch plebiscytów dotyczących Polski, a wyznaczonych w 1919 roku w Traktacie Wersalskim, kończącym I wojnę światową, odbył się właśnie w Prusach Wschodnich. Biorąca w nim udział ludność Warmii, Mazur i Powiśla otrzymała prawo zdecydowania o tym, czy chce należeć do Niemiec, czy Polski. Za przynależnością tych terenów do odrodzonej Polski przemawiał fakt, że wg polskich spisów ludności aż 80 proc. mówiło językiem polskim - posługiwało się jego lokalnym wariantem. Inaczej na ten temat wypowiadali się Niemcy, którzy twierdzili, że jest wręcz przeciwnie, tylko 10 proc. ludności tych terenów jest rdzennymi Polakami.

Sytuacja rzeczywiście była niezwykła, zorganizowaną przez Niemców kampanię plebiscytową wsparły ich terrorystyczne bojówki, zastraszające Polaków, że głosujących za przynależnością do nowo powstałego państwa polskiego, w razie przegrania plebiscytu, usunie się z tych terenów. Związki ludności polskiej Warmii i Powiśla, zostały zerwane z Rzeczpospolitą po 1772 roku, a czas jaki od rozbiorów upłynął, działał na korzyść Prusaków; materialnie i organizacyjnie. Jeszcze gorzej to wyglądało w stosunku do Mazurów, których historyczne związki z Polską były bardziej odległe.

Nie sprzyjał też ludności polskiej tych terenów termin plebiscytu, który przypadł akurat w czasie, gdy (4 lipca) rozpoczęła się wojna polsko-bolszewicka. Niemcy jej wybuch natychmiast wykorzystali propagandowo, głosząc, że nowa Polska jest tylko państwem sezonowym, a wojna z bolszewikami sprawi narzucenie Polakom ustroju sowieckiego, co tylko wzmoгло niepewność swego losu u ludności objętej plebiscytem.

Rzetelnemu przeprowadzeniu plebiscytu nie sprzyjały również posunięcia powołanych w tym celu przez Ligę Narodów międzysojuszniczych komisji, spośród których ich włosko-brytyjska część optowała jawnie za Niemcami, a tylko francuska sympatyzowała z Polską. Na dodatek na kartach do głosowania wydrukowano zamiast nazwy Niemiec nazwę Prus Wschodnich, co zacierało obraz skołowanej tym wszystkim ludności Warmii, Mazur i Powiśla. Niemcy były czymś nowym, nieznanym, a Prusy Wschodnie propagandowo gwarantowały pewien status qvo oparty na znanej przeszłości.

Oczywiście w tych warunkach i w takiej sytuacji patriotyczne siły Polaków poniosły całkowitą porażkę. W wyniku plebiscytu za przynależnością do nowej Polski opowiedziało się jedynie kilka procent ludności, w sumie tylko 8 wsi przyłączono do ziem polskich.

Z dawien dawna, wśród borów i jezior, leżały rozległe Kisielice - duża warmińska wieś, której ludność mówiła po polsku. W latach pierwszej wojny światowej w tychże Kisielicach

rezydował ksiądz Jan Mazella, proboszczujący Warmiakom - jak na te czasy się mówiło - gorącym sercem i światłym umysłem. Na organach w kościele grywał do mszy ksiądz Mazelli organista Franciszek Kamper, dziadek mojego kuzyna Kazimierza Grzeszczaka. Oni to obaj w dniu 11 lipca 1920 roku, kiedy odbywał się plebiscyt, wywiesili na plebani i wokół kościoła białoczerwone chorągwie. Wszystkim tym zabiegom przyglądała się z zaciekawieniem dziewięcioletnia Martunia Kamper, która gdy dorosła, została żoną Józefa Grzeszczaka, rodząc mu potem trójkę dzieci - Kazika, Rysia i Tereskę. Nikt nie przypuszczał, że przystrojenie kościoła w polskie flagi, wywoła taką wściekłość hakatystów - niemieckich nacjonalistów prowadzących germanizację ziem polskich w zaborze pruskim - jakiej najstarsi mieszkańcy dotąd nie pamiętali.



Fot. Archiwum Autora

Mała Marta zapamiętała obraz rękoczynów na jej ojcu do końca życia, opowiadając potem swoim synom, jak z podjudzenia junkierstwa hakatyści wywlekli z kościoła księdza Mazellę i jej ojca - organistę Kampera - z domu, i okładając ich kijami, gdzie popadło, zmusili do własnoręcznego zdjęcia flag narodowych. Obu potem zawlekli na plac pośrodku wsi, obiecując tłumowi niemieckich „turystów” patriotyczne widowisko.

Miał to być wiec Prusaków żądnych krwi, masakry i odwetu za białoczerwone sztandary. Hakatyści, czyli członkowie stowarzyszenia popierającego pruską politykę germanizacyjną, wyjąc jak rozjuszone zwierzęta, pluli na sutannę plebana i czarny surdut organisty. Zmasakrowanego księdza Mazellę zmuszono do własnoręcznego podpalenia chorągwi, a kiedy resztkami sił opierał się napastnikom, podpalono mu flagę w rękę, doprowadzając do ciężkich poparzeń.

Martunia, wraz z innymi dziećmi z polskich rodzin, przeżona biegała od chałupy do chałupy, wołając: - Ludzie! Pomocy! Ratujcie naszego księdza i organistę! Prusaki męczą ich na placu we wsi!!! Poruszeni wołaniem dzieci o pomoc Polacy powybiegali z domostw i chwytając za widły, topory, kosy... ruszyli w kierunku placu. Hakatystów było jednak więcej, byli zorganizowani, mieli broń i na nic się zdał czynny opór mieszkańców wsi, którzy zostali otoczeni i także ulegli przemocy.

Ten masowy bunt polskiej ludności Kisielic przeciwko terrorowi Hakaty przyczynił się do uznania plebana i organisty za podżegaczy i posłużył za pretekst do wysiedlenia ich i innych Polaków z Prus Wschodnich.

Franciszek Kamper, dziadek mojego kuzyna Kazika, był za

ciąg dalszy na str. 13

wiersze najnowsze

Andrzej Szczepanik, Bytów

TO CIEBIE ŁĄKI OBDARZAŁY BUKIETAMI

mojej Matce

To ja syn Twój stary co pamięcią żyje
Tamtej młodości wiejskiej kwitnącej i świętej
Dla Ciebie szumiały jęczmienne pola
Inną melodią niezapomnianą
Słodką akacjowym miodem
Dla Ciebie Matko zakwitały śnieżnie
sady wiśniowe

A łąki obdarzały bukietami
Nie udało mi się oddać ogromu Twojej
miłości

Dopiero dzisiaj zwracam Ci to piękno uczucia
Bom teraz dojrzał w synowskiej wdzięczności
Ale to za mało za skromnie w podzięce
Za moje życie Matko w Twoich objęciach
Przytuleniach zachłannie opiekuńczych
W nich usypiałem ufny i szczęśliwy
Okryty Twoim uśmiechem choć czas był
Pełen grozy - bez Ojca i nadziei
Tylko myśl nas łączy Matko bo nie mam Was
I tak pozostanie do chwili kiedy się spotkamy

Wtedy we troje wchłoniliśmy się w jedno
i popłyniemy w podróż podniebną
aby przypomnieć z naszego życia
wszystko co było w okresie bycia
i może Matko to sens nieistnienia
żeby doczekać nareszcie wytchnienia

Grzegorz Chiwieduk, Kępice

POECI

Ulegają szczeniackim fascynacjom.
Czują zapach morskich minerałów.
Przewyciężają wstyd. Są hojni i chciwi.
Unoszą się. Szybko przeszukują
przeszłość. Zostawiają za sobą mokry
śląd. Uczą się pokory. Wstuchują się
w deszcz za oknem. Odpływają nie
w śmierć, lecz w życie. Lubią wtykać
nos w nie swoje sprawy. Przestają się
spieszyć. Leżą na wznak i zamykają
oczy. Nie wyglądają na kogoś, kto
chciałby mieć święty spokój. Wiedzą,
że samotność można do czegoś
wykorzystać. Trwonią mnóstwo
energii na uzyskanie złota z ołowiu.
W nich jest środek świata. Chwilami
są chaotyczni, nieporadni, jakby mieli
kłopot z układaniem zdań. Boją się
bylejakości. Sami wybierają sobie
ścieżki, którymi biegną.

WSPOMNIENIA

Siedzą w nas. Nieusuwalne. Świecą
jak lampki na choince. Wchodzą
pod kołdrę. Uwalniają światło.
Otwierają okna. Rozchodzą się po ciebie,
ogarniając każdy jego skrawek. Wirują.
Zbliżają nas do siebie. Pokonują różne
przeszkody. Są odrodzone i chronione.
Płoną w ramionach. Falują słodyczą.
Są ostre, intensywne. Wyglądają niczym
raj. Usuwają pretensje do świata.
Wydają się odwieczne. Wypełnione
mruganiem gwiazd. Sączą się z nieba.
Otulają nas tak szczerze jak ciemność
nocy. Kiełkują jak ziarna. Zrywają się
do lotu. Ciepłe i delikatne w smaku.
Pachną kwiatami. Uśmiechają się
tajemniczo i niepewnie. Mają też silne,
piękne spojrzenie.

Tomasz Mroczkowski, Słupsk

PSALM PAMIĘCI

W blasku świec spotkamy się
na końcu drogi tej
Anioł, co przy nas stał, uśmiechnie się
i poda dłoń
Z Nieba spadnie stony deszcz
i skropi policzki nasze

Za przelane łzy
Za stracone dni
Za przegrany los
Wypijmy aż do dna

Ja nie wierzę, że nie ma już Was
Że tak szybko ucieka nasz czas
Za to wierzę, że spotkam jeszcze Was
Może w niebie, a może w moich snach

Pamięć, co w sercach trwa,
przedłuży czas istnienia
Cząstka Was zostanie w nas
i w następnych pokoleniach

Za dziecka śmiech
Za ptaków śpiew
Za słońca blask
Wypijmy aż do dna

Odnajdę Was na najdalszej z gwiazd
Pomoże Bóg - wszystkie drogi zna

Za wyschnięte łzy
Za odzyskane dni
Za wygrany los
Wypijmy aż do dna

Bogumiła Skomoroko, Słupsk

NIE ZAPOMNĘ

Moja syberyjska babko,
wuju nigdy niepoznany...
Łzami okraszona opowieść matki
o jej rodzonej
zabranej świtem z jedną walizką.

„Nigdy już nie usłyszałaś mamo
ciepła jej głosu,
nie odczułaś opiekuńczego ramienia brata”.
Skuta mrozem tundra
wymościla im postania.
Na poduszkach wypełnionych nadzieją
rozgrzewali się własnym oddechem.

„A ty ukrywałaś łzy i tęsknotę
kąsającą serce.
Czekałaś...”

Moja syberyjska babko,
wuju nigdy niepoznany.
Wspomnienia i smutek
ukryłam na dnie serca,
a wasze gwiazdy zawsze otulają moje sny
swoim blaskiem.

Emilia Zimnicka, Izbica

ODLOT

Odleciałeś, odfrunąłeś ptaku
Mej młodości
Nic po tobie nie zostało
Oprócz chwil żalości

Rozpłynęły się we mgle chmury
Olśnień i zachwytów
Nic się po nich nie zostało
Dlaczego zapytaj...

Wiatry w górze, deszcze w chmurze
Na jeziorze fala
Tylko urok, czar młodości
W przeszłość się oddalił

Wszystko mija, dobro, zło
Prawda, zakłamanie
Ludzką podłość... miłość też
Cóż po nich zostanie

Wichry czasu, zieleń lasu
Srebrne błyski nocy
W proch rozwiały, rozpędziły
Życia czar uroczy

Halina Staniszevska, Słupsk

CISZA

Otulona welonem zaświatów
utkanych z tajemniczvsch splotów
by nie uronić
mgnienia
zmarszczki czy fałdy
przenikliwych myśli
zadziomych tęsknot
emocji
Istnienia

Małgorzata Wator, Gdańsk

KRYMINALNIE O MĘŻCZYŹNIE

Fluorescencyjna powłoka skóry
Odbija światło na talerzu.
Nie wiadomo co tutaj do końca zaszło.
Może robaki, które wychodzą nosem
Pozwolą mi określić jak długo nie żyjesz.
Skrawki odzieży poplamione są od krwi.
Walczyłeś.
Widac ślady na nadgarstkach.
W powietrzu czuć zapach lawendy.
Postanowiłeś wrosnąć w krzesło.
Oddałeś się naturze bez reszty.

Jan Stanisław Smalewski, Bąkowo

WIERSZ LIRYCZNY

Zapamiętałem zabiorę ze sobą
wszystko co najpiękniejszego dało mi życie
Każdy twój uśmiech każdy dzień z tobą
kiedy jak różę w pełnym rozkwicie

ofiarowałaś mi miłość Trwając w zachwycie
niczym na niebie pogodnym obłok
grałem się w słońcu twej miłości skrycie

pielegnowałem ją ceniłem szukałem sposobów
by nie ulegać pokusom złvsch uciech

Czy szczerą miłość niesie złą pogodę
a serce gorące może przyniesć smutek
Tylko gdy jej zdrowie stanie na przeszkodzie
tylko gdy zły los źle zarządzi jutrem

Wiemym kochankom zawsze godnym siebie
nigdy w źródle miłości nie zabraknie wody
Poeta wiersz pisząc wie o tym najlepiej
bo miłując słowo też miłuje wiernie

Katarzyna Nazaruk, Gdynia

NIE-IDEALNI

idealni ludzie z buta weszli do teleramówek
zapukali w okna przedmieść z dobrą
nowiną przedwyborczą

nikt im nie otworzył... za bardzo
ucharakteryzowani
kreaturopodobni nie umyć od kilku dni
śpią w kartonie licząc letnie gwiazdy
a jednak feng shui w czterech ścianach
z otwartym uchylnie dachem
po denaturacie granatowieje niebo
spuchnięci szorstką prawdą mentalnego
bezrobocia które karmią w sobie i nawet
lubią
jak kot wylegiwać się na słońcu... a on
zaglądając przez dziurawe ścianki łapie
dystans do ludzi
podrzuca do kartonów przeróżne
remedia
sika na ulotki i podarte plakaty
z głowami idealnych ludzi
oblizując się spija mleko z podstawki
pod doniczkę z żółtą chryzantemą
mrucząc... komu bliżej do idyllicznego
nieba?

Są odejścia by widzieć drugi brzeg
idylle ze zgwałconvsch smutków
uśmiechy które jęcząc nieostrośnie
zdradzały noc po której wspinał się by śnić
i muskał lub policzkował myśli
by czuć motyle serce

Są odejścia by oddychać obłokami
które w tamtym życiu były marzeniami
bezkompromisowo odrzucać starość duszy
galimatias persona non grata
tropić młodość w starości
Wiersze... drzewa połamane utulić
usta co łkają zadziwieniem
zaszczepić pocałunkiem
nakarmić sensem

Irena Peszkin-Bobińska, Koszalin

W ZŁOCIE I PURPURZE

Purpurowo złote liście
pod stopami szeleszczą

posmutniały drzewa

gałązki drżą chłodem

przesiewają skrawki nieba
i promieni resztki cedzą
w października krótkie dni

A my senni, zagubieni
zaplątani w swe problemy
pod nawistą szarą chmurą
budujemy domki z kart

Pozostaje w nas nadzieja
i wytrwałość dziwna jakaś

Ubieramy swe marzenia
w złoto purpurowy płaszcz

Marzymy o dobrych czasach
prosperity i spełnienia

Lecz nie zawsze się udaje
Los każdego może zwieść

To nie powód, by się poddać
i choć jesień deszczem chłosta
nam na szczęście chce się chcieć

Teresa Nowak, Łupawa

ZŁOTE ŁZY

Na cmentarzu przy opuszczonym grobie,
Przytulonym do spróchniałego krzyża,
Płacząca brzoza złote łzy roni,
Próbując zgłębić tajemnicę życia.

Na zapomnianym grobie
Co nie pamięta imienia swego,
Pełgający ogień, ożywiony ręką dziecka,
Zbiera złote łzy zadumanej brzozy.

Do nieba zanieś na barkach wiatru,
Na odlamanym skrzydle kamiennego anioła,
Samotność i tęsknotę opuszczonych
Na cmentarzach pielgrzymów ziemskich dróg.

Małgorzata Ortman, Słupsk

LIST DO DARCZYŃCÓW

Jak tam wam żołnierska braci
za opłotkiem lasu rzeki
Czy warte było pożegnanie
ziemskiej trajektorii
z pulsem morskich fal
A ty Janku z Mokotowa
Franku Hanko z Czerniakowa
czy żałujecie swoich wyborów
w czasie ledwie rozkwitłej pory
A kiedy patrzycie zza gwiazd
na nadwiślański krajobraz
to co myślicie co czujecie
o podarowanym wianie
dla drugich drogich oczu
Wybaczcie mały rozgardiasz
w biało-czerwonym domu
Przepraszam za uliczny zgietk
zagłuszający melodie
z fortepianu Szopena
Mam nadzieję że powróci ład
i światły dzień nastanie
Wierzę - nie zaprząpścimy
waszych marzeń o scalonym
mądrym wolnym Narodzie
Zaufajcie dłużnikom
Nie zawiedzimy waszej
i naszej Polski

Anna Boguszewska, Słupsk

NIEBIESKI MOTYL

Rowy w śnieżnej szacie
granatowe niebo nad wydmami
świeci złoty wóz
wieczorną porą głodni i zziębnięci
przyszliśmy tutaj
złapać chwile życia i nazwać radością

zanim ogień życia dopali się

zeszklona kałuża
odbije blask księżyca
ziemia twarda od mrozu
usłyszysz szum morza
grudki piasku w białym puchu
odpłyną na skrzydłach fal

niebieski motyl zerwie się do lotu
wiatr bezszelestnie zagra ciszę
zdmuchnie ostatnie nutki
myśli uciekną w przestworza

w głuchej ciszy nocy
głośniejszemu zawyje dusza
życie, jak ptak uleci
skoro świt
z zamkniętymi oczami
przejdę na drugą stronę życia

poczekam tam na Ciebie...

Wiersz wyróżniony w Tumieju Jednego Wiersza
na VI Biesiadzie Poetyckiej w Kobylnicy.

Krystyna Pilecka, Koszalin

GRUDNIOWY CZAS

Grudzień
drzewa nagie
ziemia uśpiona prawie
jakby oczekująca utulenia
w grudniowy czas

Adwent
kościółów mrok i
lampionów płomyk nikły...
Aż przyjdą Radosne Świąta
co pokojem jedną
wszystkich
serdeczność budząc w nas

Wreszcie
następny krok -
odchodzi Stary i
nadchodzi Nowy Rok...

Ech, grudzień -
z zimą na palcu srebrnych barw
tyle chłodu oraz ciepła radosnego
w sobie masz...
A za oknem noc gwiazdy
i chłodny wiatr
co w gałęziach
cicho gra...

Ziemowit Szafran, Słupsk

ŻYCZENIA WIGILIJNE

Kruchy opłatek na stole
Dwanaście potraw
Nad nimi wisi jemiola
A pod obrusem sianko
Choinka jak gwiazdy świeci
Jeszcze modlitwa
Czytanie Pisma
Opłatkiem przełamanie
Płyną życzenia
Ktoś nawet tęę uroni
Może się skończyć
Ważnie rodzinne
Może się zbrata
Brat z bratem
Czy też życzenia
Znow będą kruche
Jak opłatek

Czesława Długoszek, Objazda

LUSTRO BASI

nie przyznaję się do twarzy w lustrze
nie rozpoznaję imienia którym mnie wzywasz
kiedy pytasz kim jestem
myślę o Marcie zajętej powszednimi sprawami
Naldzie z Sycharu z pustym kubkiem na wodę
obrazie Bruegla z młynem na skale
matce zaczynającej chleb w dzieży
dziewczynie z gerberami na starej fotografii

jestem tylko odbiciem

wybieram z wierszy Leszka Engelkinga liczby
wędruję z nimi tam i z powrotem
tramwajem 38
numery układają się w plan jedenastki
ratunku szukam w układzie gwiazd

istnieją tylko odbiciem

jedziemy idziemy czekamy
jeszcze jeden przystanek jeszcze jeden
wśród krzyży macew saffów na mizarach
rozpoznamy się za kamiennymi drzwiami

będziemy tylko odbiciem światła

PUSTE MIEJSCA

puste miejsca zjawiają się znikąd
nikt ich nie zaprasza
nikt na nie nie czeka
nie mają adresu ni numeru telefonu
czasem zaplączą się w sieci

niektórzy zostawiają dla nich miejsce
przy stole i liczą na cud obecności

puste miejsca nigdy się nie zapętniają
układają się obok siebie
jak kochankowie przed snem
i sni o tym co było
albo o kimś z kim się było

czasem wzbierają tęsknotą
i płyną rzekami łez

nie są to wolne miejsca
gdzie powstają nowe domy
i przychodzą nowi ludzie i zwierzęta

puste miejsca pracownicy dzień po dniu
przygotowują pola samotności
i czekają czekają czekają
a gdy przyjdzie śmierć wtedy są wolne

Henryk Czyż, Bytów

IZDEBKA

Mieszkam w izdebce
i kocham ją
bo tremo odbija
minione czasy

A chociaż ślepa kuchenka
blisko drzwi wisi
na niej pichcę
miętowy napar -

Gdy gwizd srebrozysty czajnik
turlam się do jego dzióbka -
jak ślimak
(Bóg mnie ocalił)
wąskością ścian)

Anioł skądś szepcze,
może z tiulowych stor
co ozdabiają okno:
- Ratujże połataną czaszkę!
(módl się do obrazka Piety)
albo poskramiaj lichy wiersz)

Już płaczę -
Jest nieutulony polot,
bez ażuru...

swoje poglądy szczególnie prześladowany. Jako aktywista polskich organizacji patriotycznych, działał razem z żoną Marianną Kamper z domu Schulz. Oboje położyli duże zasługi w budzeniu polskiego ducha wśród ludności warmińskiej. Kolportowali prasę polską i książki.

Z pokolenia na pokolenie przekazywane są wspomnienia, jak Marianna doczepiała do roweru damki wózek dziecięcy z budką, w którym do okolicznych wiosek dostarczała gazety i książki. Przyszedł jednak sądny dzień zapłaty: po przegranym plebiscycie trzy dni dano rebeliantom na opuszczenie Kisielic wraz z dobytkiem i patriotycznymi uczuciami. Niemcy bali się ich jak zarazy. Zarazy, która może „spustoszyć” całą Warmię i Mazury.

Kamperowie z rodziną i całym dobytkiem wyjechali z ziemi swoich ojców najpierw do Kwidzyna, a następnie do Gniewu nad Wisłą. Po kilku latach Franciszek Kamper dorobił się niewielkiej księgarni, w której sprzedawał także artykuły papiernicze. Gniewska księgarnia była jego oczkiem w głowie i spełnieniem pragnień o wolnej Polsce.

Oboje zmarli w Gdyni, gdzie też zostali pochowani. Franciszek Kamper zmarł 17 czerwca 1940 roku, a jego żona Marianna 21 grudnia 1975 roku.

**Zofia Maria Smalewska
Bąkowo**

„Saga rodziny Grzeszczaków”, Marpress Gdańsk 2018, str. 47-51.

Worki myśli Grzegorza Chwieduka

Worek siódmy - Wdychał jej oddech

Wyznał jej miłość do grobowej deski, dlatego kocha drzewa.



Spojrzenia odgrywały w historii wybitną rolę. Ma takie przyzwolenie na wygłupy bez świadków. Chciał zdobyć się na szczerość, aż zafatsował. Na wszystko można machnąć łapą lub się obrazić. Na mnie spanie nie jest tanie! Z kobiecym ciałem warto pertraktować. Wsuwa obiad tylko dla żony. Wdzieram się w przestrzeń tylko dla idiotów. Rozpychanie ma w sobie siłę swojskich argumentów. Przytulam się do takich dni, z którymi żyłem w zgodzie. Wąchanie kwiatków zaowocowało karierą ogrodnika. Wdychał jej oddech pod wpływem procentów. Rozgorączkowany przez wyzywające, popisane ściany. Wciąga mnie w siebie wilgotna żabcia. W obręczy pieszczot zacisnęła się jej wolność. Niektórzy ludzie nadają się do wyrzutów sumienia. Otulona ramionami nie dała jednak nogi. Domek nad przepaścią woła o pomstę do nieba. Z orgazmem za pan brat? Spróbowałem twojego ciała za cenę

ośmieszenia. Dopasowują się do siebie w nieludzki sposób. Nienastroszone nastroje warte sympatycznej piosenki i wiersza. Przyzwyczajamy się do naszych nałogów bez euforii. Z biciem serca bił pianę i ochlapał nią ścianę. Chwytając przynętę słów można się nieźle sparzyć. Wgryzam się łapczywie w łaskawą terażniejszość. Młoda skóra domaga się też starań. Pocałunek jako wstęp do całego dramatu. Ciągłe razem, ale już z wyciągniętymi wnioskami. Czytam wiersze bez podania przyczyn. Nasze dłonie poddają się porażkom i sukcesom. W najdelikatniejszych ruchach poznasz człowieka. Pieszczoty mają w sobie kocią licencję. Dla pewnego pana z Poznania kobiety są nie do poznania, ale do zniesienia. Gdy nie da się rozmawiać, można ładnie milczeć. Sącząc złość nie warto przyjmować pochwał. Psują się ludzkie języki od nadmiaru słuchaczy. Odłupuje wspomnienia dla wnuka, który w przyszłość stuka. Boi się przyszłości, bo mało go i teraz. Śmierdzące skarpetki zmusiły leniuszka do prania. Dokąd właściwie rzucamy się w przepaść? Obojętny na własną obojętność. Wydrążoną smutkiem pustkę leczy się kompleksowo. Nie Ignę do sukcesów obcych mi mistrzów. Błakaniem się

bez celu doszedł do siebie. Napętnia się fantasta dziewczyną marzeń. Nie zostawiłaś mi nadziei na dobre sny. Rozbiłaś moją pewność jednym paluszkiem. Nigdy nie byłem tak blisko prawdziwego milczenia. Laserowe oczy dobierają się do serca. Jak żonie dupa wyrośnie, musi czymś innym przykuć uwagę. Nie odchudzam się, chcę być Wielki! Dla samej przyjemności nie ma czasem litości. Pożeranie wzrokiem kobiet zaczyna się od nóg. Nie widziałem, żeby jakieś dzieło sztuki szukało rozgłosu. Przestał opowiadać bajki, bo stał się prawdziwym człowiekiem. Wyznał jej miłość do grobowej deski, dlatego kocha drzewa.

Przez seks ludzie wpadają do siebie. Nasze języki budują mosty i samotne wyspy. Kamieniami błękitnych oczu rzuciła go. Chowam się za ciebie, ale to nie zabawa w chowane-go. Zasłaniamy się czasem przed ciosami przyjaciół. Młoda

zaróżowioną skórą nie gardzi. Nastroszonymi piersiami przesyła mu komunikat. Zwijam się przy tobie jak kłębek i w przestworza lecę. Podziwiana nagości czuje się ubrana. Warstewka zażenowania z powodu niedoinformowania. Ostatni ślad zapragnął być pierwszym. Napięte mięśnie mogą zastrajkować. Rozluźniony, ale tylko bez żony. Najważniejsze decyzje czasem niepoważnie wyglądają. Kobięce ciało zażądać może reszty. Potrzeba nam spokoju, pokoju i czasem ożywczego niepokoju. Wydobywam z ciebie wszystkie najpiękniejsze dźwięki. Z przyjemnością pozbywam się kłopotów. Jesteś tylko moja na wszelkie sposoby. Chcemy tej chwili, bo na inną nas nie stać. Uczta nalewkowa babci i dziadka niespodziewanie przedłużeniem nocy. Wzbierające pożądanie pisze scenariusze w wielu aktach. Odczuwa niewytłumaczalny żal do tłumaczy swoich wierszy. Od dawna nie jesteśmy właścicielami marzeń. Przetyka łyż, przeklinając aktywną cebulę i leniwą żonę. Kawałek samego siebie zabiera codziennie do życia. Naruszony cierpieniem nie rusza się z domu. Odeszła wszelka siła, teraz tylko prozaiczna mogiła. Dał się oszukać prawdziwej suce. Gdy wybiła nieodpowiednia godzina, pokłony bił, aż wybił sobie trzy zęby i nabił sobie guza. Skopany tyłek dał instrukcje głowie. Po wszystkim został z niczym. Przykładowy Adam potrzebuje Ewki, a nie mewki. Zlepiony z kłamstw miał w końcu sam miał, nawet kotek nie powiedział mu „miau”. Na nowo umiera, by napisać dramat. Zbyt dobre wino zabrało mu prawko. Zmęczenia i spokoju nie mógł odróżnić. Idiotyczne sprzeczki o byle co urodziły rozwód. Nastrój rezygnacji dobrze się czuje w kącie, a gorzej na środku. Przytulamy się do wszystkich przełomowych wiosen. Przygarnęła pieska, zbudowała budę z niczego. Pachniesz wanilią, tylko dla mojej forsy jesteś taka słodka. Proch roztartych wspomnień nieźle go wkurzył. Pod miękkimi palcami czuję twardą rzeczywistość. Nie boję się wcale trupów w kryminale. Z poczuciem wyższości nisko upadł. Najlepszym wyjściem bywa zostanie. Uśmiecha się do mnie szczęście, ale nie na zawołanie. Wciążasz na siebie wczorajsze porażki i kłopoty. W delikatny sposób pozbywa się słaba płeć mocnych w gębie facetów. Dawkowana rozkosz, ale nie w aptece. Odgrzewane kotlety są często na topie.

Pulsująca żyłka na czole znakiem rozpoznawczym. Doprowadzają go do ekstazy tak dobrze znane frazy. Oddajesz mi się, gdy nazywasz mnie misiem. Zajeżdża ich ta rozkosz, musieli zdecydować się na dłuższy postój. Umiejętnie płynie z nietypowymi partnerkami. Na coraz wyższych falach najniższe instynkty. Małżeńskie łożo do nieba unieść może, nawet gdy żona wściekła chce do piekła.

Worek ósmy - Rosną mi skrzydła

*Półstówka skutecznie wbijają nóż w plecy.
Kryzys pozwala napluć w twarz.*

„Ależ pięknie dziś wyglądasz!” brzmi wyjątkowo złośliwie. Na plaży ziarenka piasku poddają się masażom. W wilgotnym uścisku poczuła suchość w gardle. Zasypiamy, choć nikt nam nie każe. W tropikalnej dżungli same niespodzianki. Dumna z urody straszy głupotą. Rosną mi skrzydła, bo chcę stąd odlecieć. Wierny jak pies, a przypomina kota. Gotowy do poświęceń na odległość myśli. Ewa w aureoli na więcej Adamowi już nie pozwoli. Pojawiła się przede mną druga i mam kłopot z chronologicznym wyborem. Nie była diabolicą, ale aniołem, dlatego zajęła się matofem. Zachodzące słońce niekończącym się końcem? Biust załatwił jej ubranie. Jego przyjazną dłoń odsłonił widzom słoń.

Wielkość w nagości też gości. O takiej tylko dziewczynie marzy: z konstelacją piegów na twarzy. Wyjątkowo ładny ten

brzydal. Z buzią można do zatłoczonego sklepu wyskoczyć. Irytacja narasta w miarę szarpanej podróży lub gry. Z każdą chwilą bliżej lub dalej do nieszcześcia. Wredne zachowanie nie budzi sensacji. Dręczą piłkarza nieudane wyrzuty z autu. Tresowany mąż sprawcą pięciu cięż. Prowadzi ze sobą dziwaczną grę zmierzającą do braku końca. Nabijał się z regu i się wreszcie nabił. Nie mam zamiaru robić z głowy muru. Nigdy nie miał głowy do wygłupów. Ich dramatycznego rozstania nie uwieczniono jeszcze w dramacie. Raniliśmy się tylko rankiem, dla zasady. I aforyzmy mogą się trzymać lub nie trzymać kupy. Po jakimś czasie następują zmiany w atlasie. W kolejnej rundzie to my znokautujemy samych siebie. Syf z przeszłości wybija się na plan pierwszy. Psychiczne zadry zaśnają słońce. W tańcu obłędu i destrukcji nikt nie jest gwiazdą. Dręczą niektórych starych ludzi nawet roześmiane, dowcipne szkraby. Koniec świata nastąpi na pewno w jakimś celu. Zawodnik sumo w sumie boleśnie odczuwa utratę wagi. Dotknięty przez brak jej dotyku. Dzika plaża pozwala na intymność. Czuję każdy zapach, ale bez przesady. Słodka kobietka dla takiego misia jak ty. Mam w duszy stary tamte starania bez braw. Ufności nie trzeba wkładać między bajki. Jutro będzie następne jutro. Radość niewiedomego błędnym drogowskazem. Uciekł do dużego miasta i ma teraz więcej wrogów. Gra w kotka i myszkę jest bardzo popularna. Ze szczerym uśmiechem wystął komplekсы na wczasy. Skrępowaniem zdobył jej serce. Tu i teraz dostawałem w dupę nieraz. Podziwiam spokój starych ludzi. Upojna głupawka jest zawsze młoda. Chichoty to satyryczne dźwięki. W słownych zabawach słownik mam na języku. Nieuchwytna tajemnica też czeka na cudownego odkrywcę. Miodem posmarował sobie życie i natrętni ludzie nie mogą się teraz od niego odczepić. Tak łatwo i z takim wdziękiem dorwał się do koryta. Zawładnęła moją wyobraźnię do tego stopnia, że teraz mam wieczną gorączkę. Młoda poetka ślicznie w wierszu obrażona.

Zdobył na wsi jej zaufanie i to nie na sianie! Łagodne spojrzenie zgubił już po ślubie. Czuję się z tobą tak blisko, że już bliżej by przeszkadzało. Rodzi się bliskość na złość szczekającym prorokom. Gwałtowne uczucia i w końcu ułtucia. Głodził długo jej rękę, bo trafił na skałę. Jej delikatny profil zarabia grube pieniądze. Wargi zapraszają do nielimitowanych pocałunków. Jesteś podekscytowany klęską największego wroga. Otworzyła oczy, gdy mąż zamknął się w sobie. Dotyk mojego spojrzenia ozdobił twoją twarz. Zachłanne oczy mają wstyd w nosie. Tak późno podniesiony na duchu położył się wcześniej do łóżka. Poczut kopa i sukces z siniakiem gotowy. Totalny odjazd bez udziału totalnej opozycji. Bez przerwy nerwy przez sztuczne konserwy. Strasznie tęsknię za strachem na wróble. Zawróciłaś mi kompletnie w głowie zalotnymi komplementami. Fascynująca, bo w biegu śpiąca. Zapada się w siebie podczas padającego deszczu. Dręczy go niepokój w pokoju zbyt spokojnego sąsiada. Traci nad sobą kontrolę w czasie kontroli drogowej. Wśród wspaniałych poetów odechciało mi się pisać wiersze. Rozpacзлиwa walka ma swoje charakterystyczne dźwięki. Związek się rozpadł, bo stary jej podpadł, a przy tym podupadł na zdrowiu. Posklejanej skorupy nie pochwałał przekupy. W pustym mieszkaniu pełne smutku miski i talerze. Miłośnik sztuki mięsa. Niektórzy autorzy lubią sobie dodawać sławy. Wiersze zaczęły go codziennie budzić. Jest ślepy dla lustra. Dla kabaretu pękłby ze śmiechu. Nie do śmiechu mi z wesołą śmiercią. I cisza może się pogniewać. To doniczkowe rośliny na nas patrzą. Normalny wyraz twarzy pod szczególnym warunkiem. Zgorzkniały mężczyzna ze słodka idiotką. Wyprowadziła ją z równowagi sprawa wagi państwowej. Półstówka skutecznie wbijają nóż w plecy. Kryzys pozwala napluć w twarz. Zły na siebie diabeł w niebie. Z tępyim uporem zalicza piłka w tym meczu same wpadki i poslizgi. Przeklina własną głupotę jajcarz ośmieszony. Odległe

światła miasta za każdym razem bliższe. Stuprocentowy du-reń, lecz bez defektów i efektów specjalnych. W moim mia-
steczku o dwunastej i dwudziestej pierwszej nie muszę mieć
zegarka. Głupie błędy przez zbyt mądry paraliż. Pustka i za-
wód nie mają wykształcenia. Leżąc na łonie natury doczekali
się zdanej, rozkosznej matury. Z zamkniętymi oczami nie ma
żartów. Szansa na dobry sen ulatnia się wraz z rankiem. W
gęstej płataninie pajak zwietrzył szansę. Bardziej niż zwykle
to po prostu normalnie. Z falą wstydu kąpiel nabiera dodat-
kowego smaczku. Między nimi coś tam było dla potomności.
Intensywna obecność często grzeszy. Zamiast żalu zostały
puste butelki. Część twojej duszy wynajęła u mnie miesz-
kanie. Masz na sobie wszystkie przekleństwa dnia. Nadmiar
uczuć doprowadził do niedoboru myśli.

Worek dziewiąty - Wiatr osusza moje łzy

*Gdy miłość kruszy się i zastyga,
wtedy łzy mają kolor nieba.*

Pełna samotność zupełnie zmienia smak zupy. Mie-
siące już się tak nie ciągną jak guma do żucia, lecz uciekają
niczym balony. Podobni do siebie mają siebie dość. Cholerne
życie jest zaraźliwe. Pech go podpuszcza. Nadmiar alkoholu
daje popalić. Chodzą od ściany do ściany, dlatego wychodzą
im wiersze. Umierała wiele razy przy ludziach. Nie jest we-
soła myśl głupia i goła. Bezsenne noce mogą się do czegoś
przydać. Nie możesz znaleźć dla siebie prawdziwej twarzy.
Chce się pokazać, dlatego ciągle z czymś, z kimś i gdzieś
wyjeżdża. Uczucie miłości wyrasta czasem na wylewanych
łzach. Mruczysz jak kociak, więc teraz nie mam w domu
słonia. Moje miejsce na ziemi ciągle ucieka. Do końca życia
ciężko się przyzwyczaić. Przejrzałem twoją naturę i naturalnie
nic nie wiem. Nie spodziewam się po najbliższych solidnych
wykrętów. Zamykając usta pocałunkiem spodziewałem się no-
wego otwarcia. Nieudane wakacje dały mi szkołę i niejedną
lekcję. Przejrzałem jego naturę nastawioną na sztuczność. Z
prostotą i wdziękiem ten konkursowicz wszystkich wymyślał.
Jego erotyczne tęsknoty domagają się internetowego wzmo-
cnienia. Rozłożyste biodra kobiet to luksusowe poduszki. Wa-
chlarz w akcji ma w sobie coś z wahadła. Niespożyta męska
moc zamienia się czasem w trzęsącą się galaretkę. Dobijał się
do domu, potem do jej ciała i po dobrej dał się dobić. Słoń-
ce mruga do nas znacząco, zaleca się z jasnych powodów.
Żeby inaczej pisać, musiałby się z życia wypisać i na nowo
narodzić. Przysięgamy sobie wieczną miłość na krótką chwilę.
Wierność nie jest odporna na wredne niespodzianki. Błądził
po jej ciele jednym palcem i znalazł kilka kłamstw. Noc źle
przespana odkłada się na twarzy. W głębszych rejonach snu
tak wiele znaczeń. Zmącona nadzieja, a tu trzeba działać.
Udaje mi się zasnąć, ale nie w momentach szczególnych.
Smutek za ludzi nie jest zwykłym smutkiem. Ludzie daleko,
a ja tego nie odczuwam. Ucieczka w słowa trwa u mnie w
najlepsze. Moja słabość ujawnia się w kontaktach z ludźmi.
Gdy miłość kruszy się i zastyga, wtedy łzy mają kolor nieba.
Z przyszłością bez marzeń związał się realista i już się nie
maże. Niebo bezchmurne, parasol na bezrobociu. Błado wy-
padłeś, zabrakło słońca czy efektownego końca? W świetle
księżycy kolory zaczynają ściemniać. Szeroka aleja nie pasuje
do jego wąskich horyzontów. Wiekowym drzewom wiosną
skrzydła rosną.

Wieczór kawalerski może zakończyć się śniadaniem.
Ruchliwa ulica wygoniła mnie do parku. Moja samotność
tłoczących się anonimowych ludzi nie słyszy. Hałaśliwych
ludzi cisza nie cieszy, chyba że jest tłem dla ich popisów.
Ubity piach zapamiętuje nasze stopy. Huk morza kieruje moja

uwagę w przestworza. Żałosne zawodzenie mew ma swoje
granice. Bezlistne suche gałęzie potwierdzeniem okrutnej dia-
gnozy. Ryk wiatru przerwał dzisiaj ich kłótnię. Prymitywna
dzikość często na topie. Siła morza wyleczyła go z depresji.
Z dłońmi w kieszeniach udaje bohatera.

Spaceruje po dzikiej plaży i już tylko z samym sobą się
kłóci. Wiatr osusza moje łzy bez próśb. Stał się cud i uciły
nasze wszystkie dramatyczne dialogi. Zamieszkał wśród ciszy
i cieszy się głośno. Mam tylu przyjaciół, że szkoda gadać.
Otoczył się skorupą, choć nie jest ślimakiem. Zapach soli nad
morzem wyczuwam na odległość. Sosna nie jest wcale ra-
dosna, a poprawia mi humor. Różowe niebo zaprasza nas
na kolację. Pod gwiazdzistym niebem teatr cieni. Szumem
fal pochwalić się może morze. Wśród szeptów wiatru nie
czujemy się oceniani. Zakochani, pieszczeni morską bryzą,
mają gdzieś zakichaną codzienność. Tydzień na plaży, by się
smażyć i mniej ważyć. Biały jak cukier piasek poddaje się uci-
skom lasek. Spokojna, błękitna woda to wakacyjna nagroda.
Zapach potu i kłopotów. Zapach seksu i podtekstów. Łagodne
ciepłe słońce przyjazne biedronce i stoncy. Miękkie fale latem
modne stale. Kocim oddechem budzisz mnie rano ze snu.
Nie żał wyrzucać żyletkom, że tępe i ich wyrzucać. Bez sensu
berek, gdy ktoś nie ucieka. Cienki krytyk bez cienia wątpliwo-
ści i z grubą przesadą. Na brzegu fal miłosny żar czy może
żał? Wdychanie słonej bryzy morskiej słono go kosztowało.
Wypatrywał spadających gwiazd i szlag go w końcu trafił.
Czysty romantyzm i brudna robota. Miękki piasek wymagał
twardych nóg. Kocham to miejsce, bo innego nie mam. Przy
każdej pogodzie można się pokłócić. Wiosenna mgła mogła
ją schować do baśni. W sierpniowym skwarze udało mu się
pewnie piwa nawarzyć. Zimowy sztorm złośliwą normalno-
ścią. Chłoszczący deszcz to też dar niebios? Morze, plaża,
piasek i już wiadomo, co nie w trawie piszczy. Słońce zagląda
nam w oczy, a tu skrzywienie twarzy. Swoje najlepsze strony
pokazujesz bez przesady. Na naszych tańczących twarzach
wczorajsze obietnice. Dotyk wstydu nie pozwolił rozebrać
ciebie do końca. Znajoma tak kocha wszystkie zwierzęta, że
wywołała wilka z lasu. Skok w bok nad Bałtykiem dał mu po
pysku. Wracam do bajek, one są prawdziwe.

Na słońcu ludzie czasem podgrzewają temperaturę dys-
kusji. Ukołysłani morzem postanowili zrobić jak najszybciej
użytek z kotyski. Powietrze wibruje od upału, a żonka od wa-
kacyjnych zdrad małżonka. Słońce skutecznie wyrwa nas z
bloku i usadza na zielonej trawie. Morze może uwieść. Życie
stwarza okazje do zabijania czasu. Czarno to widzę - jestem
jasnowidzem! W zimnie i w ciemności pozbywał się natrę-
tnych gości. Świat się zatrzymał i mną poruszył. Wszyscy
nie są dla nas wszystkim. Z ryczącym sąsiadem na piętku
- mistrz rozróżniania fałszywego dźwięku. Proszę śnieg i za-
proszę mi rozkwitające, wiosenne myśli. Rumieni się przed
butelką rumu jak piwonie, nawarzył sobie piwa, bo ciągnie go
teraz do piwa. Po bombie piwa beczka śmiechu. Wstąpił na
jasne piwo jak na złocisty tron. Aforysta pełen słów i wdzię-
ku, z kuflem piwa w ręku. Rozpętała się wojna o architekta
pokoju. Tamten krótki, zimowy dzień na długi zapamiętała
jego gorąca głowa.

Grzegorz Chwieduk
Kępice

Trzy te „Worki myśli” otrzymały drugą nagrodę w XV
Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Haliny Snopkiewi-
czowej w Zawierciu. Ogłoszenie wyników odbyło się 24 listo-
pada br. w tamtejszej Galerii Dolnej Miejskiego Ośrodka Kul-
tury „Centrum”. Na konkurs wpłynęło 206 zestawów wierszy
oraz 196 utworów prozatorskich. Za prozę przyznano tylko
dwie nagrody - pierwszą i drugą, którą otrzymał Grzegorz
Chwieduk. Autorowi - gratulujemy! (Z)

Pierogi z jagodami



Kusiły pełne kwiatów łąki - smak polnego szczawiu czuję do dziś. Pamiętam plecione wianki - łośnian, rumianek... Chabrów i maków szukałam w pobliskim łanie zboża

Gdzieś, wśród wzgórz znajoma wieś, zabytkowa cerkiewka i chata - taka zwyczajna, drewniana, pomalowana na biało. Uśmiechnięta gospodyni wita na progu. Czuć zapach drożdżowego ciasta. Jak dobrze znów tu być! Tonę w pulchnych ramionach starej kobiety - zna mnie od dziecka, gdyż przez wiele lat, co roku spędzałam w tym domu wakacje.

Pamiętam grube pajdy ciepłego jeszcze chleba ze świeżym masłem, posypane cukrem - przysmak wszystkich dzieci, z którymi uganiałam się po wsi. Na bosaka, opaleniu i brudni od kurzu, całymi dniami graliśmy w piłkę lub brodziliśmy w ciepłych po deszczu kałużach. Wieczorem, wykąpani i zmęczeni zapadaliśmy w sen, by rano z nowymi siłami przeżywać swoje przygody.

Kusiły pełne kwiatów łąki - smak polnego szczawiu czuję do dziś. Pamiętam plecione wianki - łośnian, rumianek... Chabrów i maków szukałam w pobliskim łanie zboża - bałam się o srogi gospodarza, bo krzychał, że gniecemy ziarno. A wianki były piękne - jak korony na głowie Zosi z sąsiedztwa, i mojej - wiecznie rozwichrzonej.

Wiejska matka

Przysiada na stołku. Podsunęła talerz z górką pachnących naleśników i twaróg żółty od śmietany. - Niech się częstuje - powiedziała

Popękany asfalt wąskiej drogi przywiódł mnie do matki, pomorskiej wioski wśród lasów, rozświetlonej słońcem i kolorami lata. Powietrze łagodne i aromatyczne. Na liniach telefonicznych - ptaki. Kilka koni pasie się na łące. Nawet nie podniosły głowy, gdy przejeżdżałam obok.

Jestem tu znowu dla Niej - zapracowanej i serdecznej. Dla wspomnień... Ten sam dom, malwy i słoneczniki. Właśnie stoi w kuchni i na rozgrzaną patelnię wlewa gęste ciasto. - Niech siada - mówi, i uśmiecha się oczami jak letnie niebo.

Na popękany, fajansowy talerz złota górką pachnących naleśników. Przysiada na stołku. - Niech się częstuje - zachęca. Podsuwa talerz i twaróg żółty od śmietany.

Patrzę na jej spracowane dłonie, paznokcie nie znające lakieru, na twarz przedwcześnie naznaczoną troskami.

Gdzieś zgubiła się jej młodość... Kariatyda dźwigająca życie na kruchych ramionach. W jej niebieskim spojrzeniu widzę ciepło i bezgraniczne oddanie swoim dzieciom i domowi. Właśnie wbiegły - krzykliwie, owiane wiatrem, rozgrzane

Wyprawy do lasu - widniały z daleka dęby, buki i świerki. W pełni lata unosiła się nad nimi przejrzysta, jasnozielona mgiełka. Do lasu chodziło się na jagody - każdy musiał uzbierać tyle, by starczyło na kilka półmisek pysznych pierogów. Polane śmietaną zbieraną z mleka z wieczornego udoju, smakowały tak, że do dziś czuję ich słodycz...

A potem odpoczynek pod gruszą za domem. Dawała nie tylko cień, ale i pyszne gruszki - klapsy. Czy po tylu latach jest jeszcze? Wychodzę z domu i idę znaną mi ścieżką do sadu. Jest grusza, zmurszała ławka zaprasza do odpoczynku.

Patrzę na znajomy pejzaż - łąki i niedaleki las. Idę piaszczystą drogą - szerszą i z koleinami. Na tle ciemnego gąszczy drzew widzę wysoką, smukłą sosnę. Pamiętam, że była młoda, delikatną sosenką, gdy wbiegaliśmy do lasu, płosząc wiewiórki i ptaki. Dziś - wyniosła i dumna zamyka ciężkimi gałęziami ziemię niby zieloną spódnicą. Wyobrażam ją sobie zimną - w srebrzystej szacie bieli - piękna na tle szarego lasu, jak królowa strzegąca królestwa drzew i ptaków.

Ale dosyć tych wspomnień. Wracam do gościnnego domu pani Weroniki, na pierogi z jagodami i śmietaną z mleka z wieczornego udoju.

Bogumiła Skomoroko, Słupsk



Fot. J. Marzajuk

słońcem. Przygarnia ich do siebie i szorstkimi od pracy palcami wyciera synom łzy, zasmarkane nosy, przykłada „bakę” na poranione kolana.

W tych pełnych miłości codziennych gestach widać całą wiedzę i mądrość pokoleń. Wiejska matka, smażąca najlepsze na świecie naleśniki.

Ale to było jej ostatnie lato. Odeszła. Cicho i zwyczajnie - jak zwyczajne było jej życie. Dziś ciszę wiejskiego cmentarza zakłóca świergot ptaków. Skromna mogiła z drewnianym krzyżem. Kładę żółte słoneczniki i zapalam znicz. Urodzona... Zmarła... Tylko tyle.

Bogumiła Skomoroko, Słupsk



Emilia Konicer - Wiersze

*gdy słonko pierwszy promyk rzuciło
wraz ze skowronkiem sobie nuciła
z każdej jej nutki unosił się zapach
ziół oraz kwiatów co w rosę opadł*

*z dzbanka rozlała ranek świeżości
tak by na łące co dnia tam gościł
a wiatr roznosił w pola i lasy
i zapadł w dusze po wszystkie czasy*

DROGA ŻYCIA

*Ile trzeba przejść dróg życia
Ile trzeba silnej woli
Nawet jeśli bez pokrycia
Nawet gdy coś boli
Zbłądzisz czasem i po drodze
Zbędnych słów też użyjesz
Tulisz w smutku oraz trwodze
Tłumisz przykre słowa czyjeś
Biegniesz kiedy krzywdą dzieje
Bronisz swego bo masz rację
Gdy szczęśliwa to się śmiejesz
Gasisz przykre sytuacje*

*Placzesz gdy coś ciebie boli
Placzesz też gdy bliskich tracisz
Dźwigasz się choćby powoli
Doświadczenie cię wzbogaci*

SENNE MARZENIA

*Tańczyłam z motylami
byłam lekka jak piórko
ziemi nie dotykałam nogami
tańczyłam w kółko i w kółko
zmęczona siadłam na łące
pośród kwiatów i ziół
takich świeżych pachnących
miodem i miętą pół na pół
wdychałam zapach dziewanny
potem zrywałam kwiaty
w dali rutę zbierały panny
wiatr wdał się z nimi w swaty
z motylami porwał do tańca
nawet się nie obraziłam
przekładałam paciorki różańca
nagle czar prysł... bo się obudziłam
trzymając rąbek pościeli w palcach*

ZAPACH ŁĄKI

*Mała dziewczynka o włosach blond
sama szła łąką i nie wiem skąd
sukienka zwiewna jak mgła wiosenna
oczka jej lśniły całą promienna*

*stąpała lekko nóżkami boso
w zielonej trawie skąpanej rosą
na głowie miała ze stokrotek wianek
w rączkach trzymała świeżości dzbanek*

Bliźnięta

Rok 1943. Okrutne czasy II wojny światowej. Rodzinie moich krewnych Jadwigi i Zygmunta Możejewskich wysiedlonej przymusowo na początku wojny z Gdyni do Lublina, powiększonej wcześniej o syna Tadeusza, rok później przychodzi przywitać na świecie bliźnięta Marka i Leszka



Czasy były niepewne, a lata wojny nie sprzyjały takiemu tempu powiększania się rodziny. Tak by się wydawało. Tymczasem zdarzały się historie, w których niemowlęta mogły uratować komuś życie.

W połowie września 1943 roku, odwiedził Możejewskich dawno już niewidziany pan Kryński. Starszy pan o kulach, których używał z powodu utraty stóp podczas niemieckiego bombardowania miasta na początku wojny, był roztrzęsiony i bardzo przygnębiony.

Jadwiga właśnie karmiła bliźnięta piersią. Kryński pozdrowił ją i przysiadł na brzegu stojącego w pobliżu krzesła. Był bardzo spięty i zdenerwowany.

- Męża nie ma? - zapytał krótko.

- Powinien niebawem się pojawić. Pojechał po towar do naszego sklepiku - wyjaśniła zajęta dziećmi Jadwiga.

Moi krewni prowadzili w tym czasie maleńki sklepik zaopatrujący mieszkańców podmiejskiej dzielnicy w podstawowe towary spożywcze, z których większość wujek dostarczał z pobliskich wiosek, jeżdżąc po nie rowerem wyposażonym w specjalny druciany wózek.

Kryński przysunął się wraz z krzesłem do stołu, odłożył na bok kule i oparł łokcie na stole, obejmując dłońmi głowę. Na pytanie, czy napije się herbaty, zaprzeczył ruchem odmowy.



Arch. Narodowego Archiwum Cyfrowego

Kiedy ciocia Jadwiga skończyła swoją matczyną powinność i odłożyła dzieci do dzieciennego wózek, zapytała go wprost: - Co tak mocno pana trapi? A ponieważ nie od razu odpowiedział, podeszła do kuchni.

- Jest gorąca herbata - postawiła przed nim parujący ciepłym kubek. - Proszę spokojnie ją wypić i wszystko opowiedzieć. Co się stało? - powtórzyła pytanie.

Kryński wziął w dłonie kubek i przenikliwym wzrokiem potoczył po dzieciach. Akurat pięcioletnia Lidzia bawiła się drewnianym konikiem z małym Tadeuszkiem, a nakarmione mlekiem matki bliźnięta słodko spały.

- Pani Jadwigo. Nie wiem, od czego mam zacząć? Nie chodzi o mnie i moją żonę, ale o zięcia i jedyną córkę Basię.

- O Boże! Zachorowali ciężko i trzeba zorganizować leki? - wypaliła jednym tchem zaniepokojona Jadwiga, która zawsze w takich sytuacjach gotowa była nieść pomoc bliźnim. - Zaraz z towarem wróci mój Zysiu, to na pewno coś uradzimy.

- Zdrowi są, kochana. Leków nie trzeba - wyjaśnił pan Kryński. - Jak zapewne pani wie, Staszek, znaczy się zięć, przed wojną był w gimnazjum nauczycielem matematyki. Otóż przegarnął on do siebie dwie dziewczynki, były swoje uczennice - zaczął powoli opowieść, zniżając swój głos do szeptu. - To żydowskie dzieci Rywka i Rachelka. Jedna ma 12 lat, a druga 14. Ukrywał je na strychu, w takiej starej dużej szafie po pozostałych lokatorach, też Żydach.

Zdolne bardzo dziewczynki. Rachelka pięknie gra na skrzypcach. Zięć, ani moja córka nie mieli sumienia zabrać jej tych skrzypiec, tylko ją prosili, aby grała wieczorami polskie melodie.

Dziewczynki pozostawały w zamknięciu i miały zakaz wyglądanego przez lukarny na strychu. Ba, chodziły nawet boso, aby nikt nie nabrał podejrzeń, że na nim ktoś mieszka.

Ostatnio Rachelka bardzo płakała za rodzicami, których Niemcy wywieźli do Treblinki i nagle przestały od nich docierać wiadomości. To wtedy wzięta skrzypce i zagrała dwie żydowskie melodie, kołysanki, jedną dla siebie, a drugą dla Rywki. Łzy popłynęły po policzkach Kryńskiego, wyjął kraciatą chustkę i głośno wysmarkał w nią nos. Umilkł.

- Domyślam się, że ktoś usłyszał to granie Rachelki i doniósł Niemcom - zagadnęła przejęta tą opowieścią Jadwiga.

Kryński skinął na to głową.

- Po godzinie była już żandarmeria SS. Przeszukali cały dom, i strych. Dziewczynek jednak nie było na nim. Przy otwartym oknie leżały tylko... skrzypce. - I to wystarczyło - westchnął ciężko - aby zaarrestować Staszka... Moja Basia była w tym czasie po odbiór tajnych gazetek. A ja - mówił powoli z przejęciem - zdążyłem w kuchni odsunąć firankę, na znak ostrzegawczy, aby nie wchodziła do domu.

Kryński zawiesił głos i ze wzruszenia rozplątał się jak dziecko.

- A co z dziewczynkami? - zapytał Zygmunt, który właśnie wrócił i niezauważony przez nich podszedł do zdobnej w kwiaty pękatej misy z wodą, by umyć ręce.

- Panie Zygmuncie, kochany - Kryński wyciągnął w jego kierunku ręce na powitanie. - One ze strachu wyostały się przez okienko na dach. Te chudzińki schroniły się w kominie. Rachelka, siedząc w kucki, trzymała na swych ramionkach Rywce. I tak aż do rana, kiedy zaczynało świtać. I tam dopiero je znalazła moja Basia.

Jak widzicie, ja z moimi kulasami na dach bym nie wszedł, weszła ich szukać córka. A ona... w ciąży, piąty miesiąc.

Mój wujek Zygmunt płożył poufale dłoń na ramieniu Kryńskiego. - Ale Basi nic się nie stało? - zapytał z troską.

Kryński siorbnął herbaty z kubka i odstawiając go drżącymi dłońmi na bok stołu, zaprzeczył.

- Na szczęście nie. I dziewczynki też są bezpieczne. Zmieniliśmy już miejsce pobytu dziewczynek - wyjaśnił. - Są

na wsi, u mojej siostry Irenki. Bezpieczne na tyle, że to leśniczówka z dala od sąsiadów.

Zygmunt wysłuchał wszystkiego z uwagą i zwrócił się do żony. - Uradzimy zaraz coś Jadwisia, prawda? Może uda się nam pomóc pana zięciowi. - Cedząc każde słowo, intensywnie myślał, cały czas patrząc na Jadwigę.

- A pana co? Nie wezwali jeszcze na przesłuchanie? - zapytała Jadwiga.

- Ano, wezwali. I to dzisiaj, za dwie godziny - odparł. - Chyba już stamtąd nie wrócę.

- Zaraz, zaraz. Coś mi chodzi po głowie. To znaczy, przypominałam sobie, że... - Jadwiga zaczęła się głośno zastanawiać.

- Co sobie przypominałaś? Mówże wreszcie - ponaglił ją Zygmunt.

- Przypominałam sobie, że znam tam jednego z oficerów. Jest tłumaczem samego szefa żandarmerii, niejakiego Zoske. Jego żona Aniela to Polka, dobra znajoma mojej mamy Rozalii.

W oczach obu mężczyzn zapaliły się światełka nadziei.

Jadwiga natychmiast postanowiła działać. - Zygmunt, ty przypilnuj z panem Kryńskim Tadzia i Lidzie, a ja tam pójdę, z bliźniakami.

- Z dziećmi? Ależ pani Jadwigo!

Zygmunt miał podobne zdanie. - To bardzo niebezpieczne dla ciebie i jeszcze chcesz zabrać dzieci? Co ty znowu wymyśliłaś?

Jadwiga nie dała się przekonać. Szybko wyciągnęła z kufra najlepszą sukienkę, jaką dostała z Czerwonego Krzyża, uwydatniającą jej kobiece kształty i obfity biust matki karmiącej. Na głowę założyła mały, fikuśny kapelusik z krótką woalką na oczy. Na nogi naciągnęła buty, tak zwane korki, pokryte wężową skórą, które Zysiu kupił jej jeszcze przed wojną na Hali w Gdyni. Rozpuściła swoje długie, kręcone włosy, a całość tej stylizacji podkreśliła mocno czerwoną szminką na ustach.

- Jaka pani jest piękna, pani Jadziu - uśmiechając się, zażartował Zygmunt.

- Na razie nie dla ciebie do podziwu, ale mam pewien plan...

Jadwiga ubrała Leszka i Marka i zapakowała chłopców do wózka, przykrywając ich niebieską kołderką. I pospiesznym wyszła z domu. Na ulicy Chopina podjechała wózkiem z bliźniakami pod samą dyżurkę żandarmerii.

Gdy z budki przy wejściu wychylił się wartownik, zanim ją zdążył o cokolwiek zapytać, Jadwiga po niemiecku wypaliła: - Chciałam się osobiście widzieć z oficerem Zoske. Sprawa osobista. - I posłała mu uwodzicielski uśmiech, puszczając oczko.

Wartownik zaszwargotał na cały głos do dyżurnych za bramą. - Hej tam! Kobieta do Zoske... przyjechała! Osobista sprawa! He, he - zarechotał. I szybko zmieniając nastrój, zwrócił się do Jadwigi - A dzieci?

- Co dzieci?! - udała zdziwienie - Chyba przypilnujesz? Umiecie je robić, to zająć się nimi też powinniście potrafić!

Wartownik oniemiał z wrażenia, wybałuszył oczy i znieruchomiał na chwilę.



Arch. Narodowego Archiwum Cyfrowego

- Spokojnie żołnierzu. Dzieci są nakarmione, będą spały - wyjaśniła, przyglądając się uważnie rudemu wartownikowi, jakby chciała tym podkreślić, że gdyby coś im się stało, będzie miał nie tylko z nią do czynienia.

Nie każda chyba kobieta zdobyłaby się na taką odwagę i na takie poświęcenie dla ratowania cudzego życia.

Jadwiga dobrze kalkulowała, że pozostawiając dzieci obcemu, odwróci uwagę od siebie.

Chwilę potem w drzwiach budynku żandarmerii stanął Zoske.

- Witam panią Hedwigę. Co sprowadza do nas?...

- Muszę z panem zamienić kilka słów na osobności. Tak, aby nam nikt nie przeszkadzał - opanowując drżenie głosu, półszeptem odpowiedziała Jadwiga.

Zoske szarmancko usunął się na bok, robiąc jej przejście i zaprosił do środka. Na korytarzu wydał krótki rozkaz, że ma mu nikt nie przeszkadzać i zaprosił Jadwigę do swojej kancelarii.

Gdy zostali sami, poczuła się pewniej. Znała rodzinę Zoskego i wiedziała, że Kurt był dobrym człowiekiem i niejednemu już podał pomocną dłoń, o ile to było jeszcze możliwe.

Śpiesznie wszystko mu wyjaśniła i nie owijając niczego w przysłowiową bawełnę, powiedziała na koniec: - Kurt, ratuj tego biednego nauczyciela. O ile coś jeszcze w tej sprawie możesz zrobić? Jak on zostanie u was, wiesz, żywy już nie wróci. Uczył też twoje dzieci.

- Proszę tu poczekać, pani Hedwigo, zaraz do pani wrócę.

Zoske wyszedł z kancelarii, aby po paru minutach wrócić z szarą teczką. Wyjął z niej jakieś odręcznie napisane papiery i... jeden maszynopis.

- Proszę się nie martwić, załatwione. To są donosy i raport z aresztowania - pokazał na dokumenty. Nauczyciel wróci wieczorem do domu.

Mówiąc to, podał na jej oczach dokumenty na drobne kawałki i wrzucił do żelaznego kominka.

- A teraz... wychodząc, na korytarzu skradnij mi buziaka - powiedział po polsku i roześmiał się.

Nigdy się z Zoske nie całowała, ale skoro sprawa tego wymagała?

Zoske podszedł pod portiernię i z wyrazem ojcowskiej miłości zajrzał do wózka, odchylając na moment niebieską kołderkę.

- Rosną jak na drożdżach. Tylko mi o nie dbaj! - powiedział po niemiecku i przyciągając ją do siebie, na pożegnanie pocałował namiętnie w usta.

Po tej scenie, odegranej na oczach trzech innych oficerów, Jadwiga pośpiesznie poprawiła kołderkę, okrywając swoich bliźniaków i wróciła z nimi do domu.

Czuła się obrzydliwie. Pomyślała, że najpierw opowie wszystko Zygmunтови, a i przy nadarzającej się okazji, jak spotka żonę Zoskego w sklepie, może i jej?

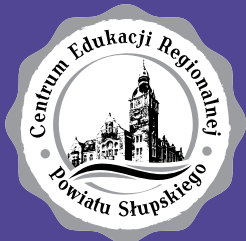
Zięć Kryńskiego wrócił do domu tego samego dnia późnym wieczorem. Rano z żoną i dziećmi wyjechali w nieznanym kierunku.

Kryński wpadł na chwilę, by podziękować. - Bardzo, ale to bardzo, pani Jadwigo dziękuję pani. Jak Bóg da doczekać końca wojny, to się spotkamy, i zięć podziękuje osobiście. A teraz... muszę się śpieszyć. Bo ja też z rodziną wyjeżdżam. Nie czujemy się tu bezpiecznie i nie możemy ciągle narażać przyjaciół.

Wyjechali. Kryński nie powiedział dokąd, a Zygmunt go nie pytał, tylko serdecznie uściskał. I życzył przetrwania, i zdrowia.

**Zofia Maria Smalewska
Bąkowo**

Anna Karwowska zwyciężyła w Turnieju Jednego Wiersza



W Gminny Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy odbyła się VI Biesiada Literacka z Turniejem Jednego Wiersza. Ten ostatni wygrała Anna Karwowska z Dobieszewa za wiersz „Czym jest poezja”

pt. „Czym jest poezja”, II - Tomasz Mroczkowski ze Słupska za wiersz pt. „Drogowskazy”, III - Barbara Nibelska z Kobylnicy za wiersz pt. „Zima”. Wyróżnienie - Anna Boguszevska ze Słupska za wiersz pt. „Niebieski Motyl”.

Tradycyjnie przyznano też Nagrodę Specjalną Wójta Gminy Kobylnica, którą otrzymała Aldona Magdalena Peplińska z Motarzyna za wiersz pt. „Gdyby tak”. Natomiast Publiczność nagrodziła Katarzynę Stół za wiersz pt. „Od życia do życia”.

Organizatorem imprezy byli: Gminna Biblioteka Publiczna w Kobylnicy oraz Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku przy współpracy z Gminnym Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy. W programie wydarzenia znalazł się też koncert Łukasza Majewskiego z Gdańska - muzyka, autora tekstów, wykonawcy piosenki poetyckiej, oraz wystawa malarstwa Anny Krawczuk. (CER)

Do Turnieju Jednego Wiersza zgłosiło się 31 twórców, ostatecznie na scenie kobylnickiego Centrum Kultury i Promocji zaprezentowało się 24. Jury w składzie: Maria Pietryka-Małkiewicz, Jerzy Fryckowski i Łukasz Majewski po wysłuchaniu wszystkich prezentacji zdecydowało o następującym podziale nagród: I miejsce - Anna Karwowska z Dobieszewa za wiersz



Anna Karwowska, Dobieszewko

- I Nagroda

CZYM JEST POEZJA?

Poezja nie jest łatwa
patrzy jasnym okiem
jak flesz błyskawicy
i nie wiadomo
czy to świadectwo skargi
czy wielkie dzieło

Poezja - to Anioł
co fruwa na wzgórzach
to sprawy od świtu

do nocnego cienia
chwile smutku cierpienia
krzyk miłości do Ojczyzny
ciche cmentarze kościoły
co grzeją świecami zmęczona
matka mrozem ukwiecone oczy
dłonie z pokrzywionymi palcami
i wonny krzak co pachnie różą.

To pająk co obraca niemi młyn
w którym wszystko się toczy
i zawsze coś płynie
a rozum ciągle brzemienisty
jak kobieta która oczekuje dziecka,
tylko metafora
do korzeni się zwięża słowo

czasem przenosi
na manowce.
Poezja podbija gwiazdy
a zabiera kamienie słowem
rozplątuje żyły na nich
i pisakiem zagląda do wnętrza.

Poezja nie jest rzeczą
ani przedmiotem to część natury
nędzna historia
nie jednej epoki
recepty na nią nie pytań nikogo.
Słowa po wiekach składają
się na czułość
i czasem wyciskają w powiekach łzę.